



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

### WSPOMNIENIE TATRÓW

skreślił

Kazimierz Gliński.

#### SOBÓTKI.

Hej! gwarno było wśród tatrzańskich lasów  
Od dźwięków pieśni i krzyku juhasów —  
Janowa noc się zbliżała.... Wśród borów  
Stękały ostrza góralskich toporów;  
Kłótlive echo, gdzieś, siadłszy za skałą,  
Nieumęczenie w takt siekier rąbało,  
A gdy rozgłosnie zahuczał śmiech żywy,  
Skakał i śmiał się ten psotnik swarliwy.  
W prawo i w lewo szum, łoskot i chrzęsty  
Ciętych gałęzi—huk ostry a częsty,  
Prawdziwa głosów mieszanych ulewa....  
Tu brzękła piła, tam runął trup drzewa  
Aż drgnęły lasy przelekle.... za skałą  
I echo brzękło, runęło, zadrżało....

We wszystkie wdzięki ponęt rozwinięty  
Czerwcowy wieczór sływał po gór szczytach—  
W dali krąg słońca, czerwony, rozdęty,  
Zawisł nad ziemią i stał na błękitach  
Długo—ognistą tarczą się kołysał,  
W milczące głębie schodził i krwią pisał...  
I niebo, z krwawą przepaską na czole,  
Czekało nocy, póki pierwsza, senna

Gwiazda, błękitów pieszczone pachole,  
Nie zadrzy, blaskiem diamentów promienna.

Z podhalskich równin lud ruszał jak mrowie  
Na świętą górę, gdzie srebrna toń wody  
Płasem fal drżała.... Poważni gazdowie  
Trzymali środek, wkoło nich świat młody  
Kręcił się, szumiął, niby pszczelne roje,  
Miodnego kwiecica zwabione ponętą;  
I śpieszył z brzękiem na doroczne święto,  
Świąteczne niosąc i serca i stroje.  
Hej! gwarno było.... a radość wesoła  
W tych prostych duszach!.... Krasne dziewcząt

[koła

Wiły się płasem, niby rój skrzydlaty,  
Bielicznym wiankiem otoczywszy skronie;  
A każdej lice takim blaskiem płonie,  
Ze patrząc, myślałbyś, iż tańczą kwiaty.  
Hej! górskich dolin to kwiaty! a mnóstwo  
Było tam cacek i ziele u włosów,  
A gwar a klekot, że pewno z niebiosów  
Spojrzało na świat miłościwe bóztwo.  
Mienił się, płynął ten tłum różnowzory  
Na świętą górę, kędy stos stawiono ;  
Bo już wieczorny upadł cień na bory  
I złotą gwiazdą błysło niebios łono.

Dwanaście jodeł bezgałęźnem czołem  
Sparło się w górze, tworząc stos wysoki,  
I tłum go obległ długiej wstęgi kołem,  
Czekając ognia, by wionął w obłoki.  
Najstarszy z gazdów wziął krzemień do ręki,  
Trzepnął żelazem, sypnął iskier krocie,  
I hucznej pieśni poleciały dźwięki,  
Dodając serca tanecznej ochocie.

Już podpalony stos jęczy i dymi,  
Stękają słupy, toczą sok żywiczny;  
Wtem cienie padły na świat okoliczny,  
I buchnął płomień niby wąż olbrzymi....  
Wyżej i wyżej po jodeł ramieniu  
Sunie się ogień i na szczyt się wciska;  
Już siadł na wierzchu, miotłą iskier błyska  
I płonie zorzą na niebios sklepieniu.  
Hen, hen daleko, różowemi blaski,  
Gdzieś aż za gwiazdy poszła krwawa luna;  
A w koło stosu w płas idą juhaski  
I drzy srebrzyście młodych piersi struna.  
Jak żdźbła pszeniczne wichrami chylone,  
Suną się pary to w tę, to w tę stronę...  
Rozkoszny taniec nagradza dnia trudy.  
Więc skaczą raźnie, dłoń dłoni się ima;  
Chrypliwa kobza poważnie prym trzyma,  
A grajki, miodem zagrzani, dmą w dudy.  
Grzmi tan ochoczy. Wokoło ogniska  
Dziarska młódź płasą i toporki ciska  
W niebo—daleko za niemi wzrok goni—  
Błysną—polecą—i wpadną do dłoni.  
A tam, w drzew cieniu, siwi gospodarze,  
Gazdowie, bace, starce i staruchy,  
Przy wychyłanej często miodu czarze  
Siedzą i gwarzą. Widzisz tylko ruchy  
Rąk, bo za krzykiem tańczących wkrąg stosu,  
Poważnych ludzi nie posłyszysz głosu.  
Na tle płomieni, jakież fantastyczny  
Przedstawiał obraz ten w skokach tłum liczny,  
Strojny, szumiący!—i cicha gromada  
Dziadów, co tylko ruchami rąk gada....  
Wiją się, płaczą.... wtem niespodziewanie  
Skrzypki brzęknęły.... Hej! znane to granie

Skoczne, ogniste nie nowe a nowe!...  
 Hej! znają Tatry te skrzypki Jaśkowe,  
 Których dźwięk srebrny w dolinach nie ginie,  
 Lecz płynie w góry a z gór w niebo płynie.  
 Zabrzmiały krzyki radości i bystrzej  
 Płas się rozwinął; bo mistrz to nad mistrze  
 Był stary Jaśko.... Gdy smykiem posunie,  
 Po jednej, drugiej, trzeciej, czwartej strunie,  
 To jakiś rzuci czar w piersi prostacze,  
 A w krew zaskrzepła lat młodzieńczych dreszcze,  
 Że dziad niejeden zerwie się i skacze,  
 A zda się góry hukają: „Graj jeszcze!”  
 Hej! znają Tatry te skrzypki Jaśkowe,  
 Te tony smętne, te dźwięki perłowe,  
 Gdy, w drzwiach szafasu usiadłszy na progu,  
 Gra jakąś rzewną piosnkę Panu Bogu.  
 Chcesz poznać mistrza? to zejdź go w godzinie,  
 Gdy śpiew dobyty prosto z serca płynie;  
 Kiedy swą duszę na strunach położy,  
 Zaklnie w dźwięk pieśni i rzuci w świat boży.  
 Jaśkowe skrzypki, gdy miesiąc zaświeci,  
 Najpiękniej grają.... Dźwięk leci i leci,  
 Po lasach, wodach do gwiazd na lazurze ..  
 Czasami zgrzytną skrzypki, niby burze,  
 Wichrów—zmacony szum płynie i stęka  
 Gromem dalekim, ton rwie się, dźwięk pęka,  
 Biją pioruny.... Jakby mistrz z rozpaczą  
 Rwał serce, struny dzwonią, krzyczą, płaczą  
 W skłóconych głosów wrzask—aż pieśń szalona  
 Zajęknie—wionie w błękitny—i skoła.

Gadają nawet ludzie, klnąc się Bogiem,  
 O strasznej zemście Jaśka nad swym wrogiem:  
 Spotkał go w górach: „Stój!—woła—ja tobie  
 Zagram na skrzypkach“. Odniechcienia sobie  
 Brząknął po strunach; a wróg nienawistny  
 Rzucił się zaraz w płas i wpadł w szal istny.  
 Trzy dni, trzy noce od ranku do ranku  
 Grał Jaśko, a ten tańczył bezustanku,  
 Aż upadł trupem na ziemię, lecz ciało  
 Trzy dni, trzy noce jeszcze,—tańcowało.

Tak też i teraz, gdy smyka przyłożył  
 Do swoich skrzypek, to stary świat ożył;  
 Bo kiedy Jaśko na strunach wywodzi—  
 I białym włosom poskakać się godzi.  
 Trzepnęły dłonie i dziadów gromada  
 Z krzykiem i śpiewem w skaczący tłum wpada;  
 Taneczne koło jak wąż się rozdyma,  
 Dmą grajki w dudy a kobza prym trzyma.  
 A Jaśko, stojąc na grających przedzie,  
 Siekąc po strunach swej skrzypki, rej wiedzie,  
 I gdy płas w większym porusza się szale,  
 Tupnie o ziemię i smykiem tnie dalej....  
 Brzmi ton sobótki, grzmi skrzypka Jaśkowa,  
 Ton dzwoni, płynie i w góry się chowa,  
 A nowych dźwięków, strun nowych przybywa;  
 Już skrzypka nie gra, lecz śpiewa i śpiewa.

Hej! długo, długo to mrowie hulało,  
 Aż gdy tchu piersiom, nogom sił nie stało,  
 Gdy blask jutrzeńki przyświecał daleki  
 I miodem ciężki sen sklejał powieki,  
 Umilkła wrzawa.... Tylko kobza smutnie  
 Jakąś pieśń rzewną to zacznie, to utnie,  
 I zaczynała, urywała póty,  
 Póki nie zabrzmiał śpiew dziewiczej nuty.  
 Zamilkli wszyscy.—Dziewczyzna, jak słońce,  
 Ujawszy do rąk fartuszek w dwa końce,  
 Wybiegła, w wianku na czole bielicznym,  
 I pieśń zawiodła głosem dziwnie ślicznym:  
 „Oj! płacze stary Giewont strumieniami“  
 Nuciło dziewczę—luba pieśń góralom!

Nieumęczone echo za górami  
 Śpiew pochwyciło, blizkiej wody falom  
 Oddało wiernie; echami i rzeką  
 Piosnka spłynęła i znikła daleko.

W głuchem milczeniu słuchały gromady  
 Znajomej nuty śpiewu.—Stare dziady  
 Trzęśli głowami, a z miny znać było,  
 Że lżę niejedną w rękaw się ukryło.  
 Wtem powstał Jaśko; oczy zaognione  
 Miał—był w natchnieniu. Rzucił smyk na stronę,  
 Ku góróm twarzą zwrócił się radosną  
 I do kobzarza:—„Graj!“—zawołał głośno.  
 Znać wiedział grajek lubą pieśń Jaśkową,  
 Bo na odpowiedź tylko kiwnął głową;  
 Przycisnął miechy i smętnie przygrywał.  
 Jaśko odrzucił włos bujny i śpiewał: <sup>1)</sup>

Hej Tatry!—lat temu wiele  
 Jak nasza ziemica stara,  
 Ta Polska nasza, w popiele  
 Legła pod mieczem Tataru.

Złamano wojsk dzielnych mężstwo,  
 Krew biegła po niw rozłogach;  
 Przy wrogach było zwycięztwo,  
 I gród królewski przy wrogach.

Rozpierzchły zastęp husarski,  
 Zagonów dziczy nie wstrzyma,  
 I śmiał się królik tatarski,  
 Że bitnej Polski już niema!

Ale śmiech jego był krótki!  
 Kędy skał naszych urwiska,  
 Zobaczył ognie sobótki  
 I chciał się przyjrzeć im zblizka.

Wydano wodzom rozkazy  
 I leciał tłum rozhukany  
 Pod ostre skał naszych głazy  
 I naszych jodeł tarany.

Grzmiał bój już w czarnym parowie,  
 Nim błysnął pierwszy brzask słońca,  
 Chan czekał wieści—a kto wie,  
 Czy strasznej wieści miał gońca?

Juhasów walczył rój dziarski,  
 Topory niosły zgon krótki,  
 A co?, króliku tatarski,  
 Czyś widział ognie sobótki?!

Od chwili owej nad nami,  
 Już pono siódmy wiek płynie,  
 Wiatr buja ponad górami,  
 Próchnieją koście w dolinie.

Jaśko śpiew urwał; ale jeszcze dzwonił  
 Głos—drżało echo—za tonem ton gonił,  
 Do chmur, za chmury, do gwiazd i za gwiazdy.  
 Jaśko tchnął ciężko i podszedł do gazdy,  
 Co, siedząc z dzbanem, miodu nie nalewał  
 W ujętą czarę, tylko głową kiwał  
 Smutnie i, wodząc okiem zadumanem,  
 Patrzał na niebo z pochylonym dzbanem  
 Nad czarą, niby senny, i biegł duchem  
 W przestrzeń, za dźwięków ginącym łańcuchem.  
 —„Daj miodu, bracie!“—rzekł.—Brząknął dzban  
 [pusty.  
 Ostatnia kropla.... Spragnionemi usty

1) W śpiewie Jaśka zawarte jest podanie o Dolinie Kościeliskiej.

Jaśko miód wypił, długie włosy rzucił  
 Na barki, w cieniach zniknął i nie wrócił.  
 Daleko tylko gdzieś, w jarach, jak szybki  
 Lot błyskawicy, biegły dźwięki z skrzypki  
 Jaśkowej—gdzieś w gór dalekich zakręcie  
 Coś jęło rzewnie, jak serca pęknięcie.  
 Nie stało Jaśka, nie stało ochoty  
 Do nowych płasów; zerwały się sploty  
 Rąk.—Dudarz drzemał, na prawo i lewo,  
 Chwiał się plecyma oparty o drzewo,  
 Tylko chrypliwa kobza bałamutnie  
 Jęczała; dźwięk jej wśród ciszy brzmiał smutnie.  
 Milczała ziemia senna; błada gwiazda  
 Błysnęła z niebios błękitnego gniazda,  
 I ranek chłodnym powionął oddechem,  
 I wbiegł na góry witać wschód z pośpiechem.  
 Zwolna lud śpiący rozchodził się w w doły  
 Do siedzib swoich; ni śpiewu, ni głosu  
 Na miejscu zabaw; tylko w okrąg stosu  
 Wiatr przepalone rozrzucił popioły.

Pod zielonemi sosen konarami  
 Ponocnych tonów byliśmy świadkami,  
 Gdy na płonącym polskich wzgórz kobiercu  
 Sunęły cienie płasem uroczystym;  
 Każdy śpiew znalazł bratni oddźwięk w sercu,  
 Każdy głos echem skamieniał wiecznym.

## O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIM

(Z dzieła premiiowanego na konkursie przez Redakcję „Bluszczu“ ogłoszonym)

przez

Zofią Kowerską.

(Dokończenie).

Sumienie jest tak pokrewnym prawdzie przymiotem, tak stoi z nią w bezpośrednim stosunku, że można je nazwać poczuciem prawdy ku nam samym zwróconem. Ale dla każdej prawdy trzeba podstawy, trzeba wykrytego przez nią samą prawa, na któremby się mogła dalej rozwijać. Sumienie — wewnętrzna potrzeba posiadania praw etycznych — dała ludziom religią i przekonania. I dziś też sumienie tylko na tej podwójnej podstawie kształcić się może.

Znanem jest wprawdzie i często powtarzanem, że sumienie jest darem wrodzonym, że je każdy z sobą na świat przynosi. Przekonanie to jest prawdziwe, jeżeli pod nazwą sumienia rozumiemy władzę wewnętrzną sądzenia naszych czynności; jest fałszem, jeżeli przypisujemy jój wrodzony wstręt do złego, a zamiłowanie dobra. Ocenie czynności własne umie każdy człowiek, będący w pełnem posiadaniu władz umysłowych; ale stanowisko, z którego je sądzi, zmienia się dla każdego. To, co przez jednych za dobro jest uznawane, w przekonaniu innych może być poczytanem za występpek. Lichwa np. i dzisiaj jeszcze przez jednych uważaną jest za nikczemne wyzyskiwanie, podczas, gdy drudzy uważają pobieranie, choćby najwyższych, procentów za zysk najnaturalniejszy, od kapitału posiadanego otrzymywany.

Wrodzoną zdolność sądzenia rozwija w dziecku świat zewnętrzny i życie. Doświadczenie uczy je, że ogień pali, woda zatapia, uderzenie sprawia ból; że przyjemność wypływa z zadowolenia pragnień, smutek zaś rodzą przeszkody ich zaspokojeniu stawiane. W tej szkole naturalnej kształci się sąd — sumienie.

Lecz będzie ono darem Bożym zmarnowanym, jeżeli nie damy mu poznania, co jest dobre, a co złe, jeżeli go nie wesprzemy na religii i przekonaniach z niej płynących.

Głos tego wewnętrznego sędziego stanie się bardzo słabym, jeżeli zagłuszą go namiętności i paradowalna argumentacja; słowem, jeżeli pracą wychowawczą nie rozwinie i nie umocni tej szlachetnej ducha ludzkiego władzy. Praca nad sumieniem należy do najdelikatniejszych działań edukacyjnych; musi ona bowiem, kształcąc wychowanka na podstawie religii, śledzić jego myśli, słowa i uczynki bez wzbudzenia podejrzeń, rozwijających skrytość charakteru, a jednocześnie zdobywać sobie zaufanie i szczerść, bez której niepodobna w tym kierunku krokiem naprzód postąpić. Trzeba zarówno być baczny dostrzegaczem i sędzią, nie zniżając się nigdy do roli szpiega; stać się dla dziecka okiem opatrności, zawsze na nie zwróconem, nie ograniczając zbytecznie jego swobody: słowem — tak sprawiedliwość własną wyznaczyć jasnowidząco, aby ta nigdy się ku słabości, ani nadmiernej surowości nie przechyliła, aby nigdy w podejrzliwość nie wpadła, a z drugiej strony nie grzeszyła zbytnią wyrozumiałością; aby nigdy nie dała się ować słabością macierzyńską — tą słabością, co się admiracją dla własnych dzieci ujawnia, lub tą drugą, co, pragnąc widzieć w nich doskonałe istoty, przesadza ich skłonności i błędy.

Z subtelności i drobiazgowości tego działania widzimy, że tu główna rola raczej matce, niż ojcu przypada w udziale; ojciec wszakże, nie schodząc do szczegółów, nie wywołując takiej ufnej ze strony dziecka szczerości, może, i musi działać w szerszych zarysach, dodając do pracy matki to, co jest tłem i perspektywą w obrazie i od czego sam przedmiot odbija dopiero wyraźnie i dobitnie. Weźmy przykład najbliższy: przypuszczam, że matka pracuje nad obudzeniem w dziecku wstępu do kłamstwa: usiłowania jej muszą być drobiazgowo i powolne; ojciec zaś, z oburzeniem w głosie, mówi przy obiedzie o kimś ze znajomych: — „To człowiek podły, nikt mu ręki nie podaje; sfalszował podpis ojcowski, popełnił czyn haniebny — kłamstwo: nie przyjmę go więcej w moim domu“. Dziecię patrzy na ojca z szeroko rozwartymi oczami, myśli i kombinuje.

Ta energiczna apostrofa wydatnia przed jego sumieniem słowa i pracę matki — jest ową perspektywą dla obrazu. Nie wiem, czy zdołałam dokładnie określić myśl moją; niech sobie jednak czytająca matka uprzytomni różnicę wpływu ojcowskiego, a macierzyńskiego; niech pomyśli, że ojciec przedstawia dla dziecka pracę pozadomową, szersze stosunki, obowiązki publiczne; matka zaś — dom, miłość, rodzinę; a poczuje, jak oba te wpływy, działając na sumienie dziecka, działają przeciw odmiennie i wzajemnie się uzupełniają.

Czułość i delikatność sumienia rozbudzić można do tego stopnia, że człowiek, nietylko złe popełnione, ale nawet ominięta sposobność uczynienia dobrze, sobie wyrzuca. By to otrzymać, niech matka wspólnie z dzieckiem rozważa jego postępek, pokazuje mu z uczuciem miłości chrześcijańskiej: co dobrego mogło uczynić, jak mogło ustąpić siostrze lub bratu, jak do posłuszeństwa zachęcić, jak młodszemu rodzeństwu winno przyświecać przykładem; jak ma cenić pracę służących i uczynić ją, o ile można, dla nich lepszą, przyjemniejszą, jak im winno grzeczność największą; jak powinno być wdzięczne tym wszystkim, co pracują nad jego wychowaniem; jakto nigdy pieniędzmi nie można zapłacić niance za nocne czuwanie, trawienie zdrowia przy pielęgnowaniu, gdy było chore; jak cenić dobroć, cierpliwość tych wszystkich, co od dzieciństwa nad nim pracowali, by je rozwijać, tak cielesnie, jak duchowo; jaką to gorącą wdzięczność winno czuć dla Boga, który mu dał taką opiekę, jak Mu za to dziękować czynem, kochając i dobrze czyniąc bliźnim; jaką szlachetną litość nad zwierzętami mieć należy, nie wyszukując ich usług aż do udręczenia; jak słabszego przed mocniejszym bronić, a nawet niszczyć szkodliwego charabaszca, oszczędzać mu udręczeń i nie pastwić się nad żadnym stworzeniem. „Dzieci z urodzenia dobre i zacnie wychowane — mówi Legouvé — dochodzą do tak niewzruszonej uczciwości, jaką za ledwie zna cnota. Nic ich nie zmiesza, nic z drogi nie sprowadzi. Jeszcze wolne od wszelkich stosunków z ludźmi i rzeczami, nieświadome wszystkiego, co się nazywa porozumie-

niem, ugodą, zachowują duszę nieugiętą dla prawdy, i to, nie jak sprawiedliwi i mądrzy — wskutek wyrozumowanej woli — lecz, że ośmielię się użyć tego wyrazu, z głupoty, poprostu dla tego, że nic innego nie rozumieją. Nieraz próbuję oszukać dziecko sofizmatami. Przedstawiam jego instynktownym skrupułom uludne rozumowanie, oparte na wymaganiach okoliczności, na koniecznych ustępstwach w życiu i t. d. Doprowadzę malca do milczenia, lecz go nie przekonam. Gdy po długiej rozmowie zażadam od niego po raz ostatni, ażeby mi objawił swoje zdanie, srebrny głosik wyda tenże sam dźwięk, co i na początku rozmowy; odezwie się jedną, jedyną nutą, jaką znają nutą sprawiedliwości i prawdy. Jest to niejako instrument, którego nie podobna odstroić, jest to kamerton, którego gdy się dotkniesz, niezłomnie wydaje swoje *la*, pokazując ci, o ile od tonu zбочyleś“.

Do tego stopnia rozbudzone i ugruntowane sumienie dziecinne musiało być uprawianem przez szlachetną matkę. Taką też matkę przedstawia Legouvé w swej pedagogicznej powieści.

Sumienie światowe — honor — jest uczuciem szlachetnym, nie należy więc jego rozwijania lekceważyć. Daje nam ono pragnienie takiego uregulowania życia, by mu nikt nie miał nic do zarzucenia; by na niem najmniejsza nawet nie powstała skaza.

Honor jest białą szatą, którą najłżejsze dotknięcie brudu kała bezpowrotnie; noszenie jej zmusza do oględności i uwagi na siebie, do chodzenia tylko czystymi i otwartymi drogami. Sumienie chrześcijańskie strzeże nas od grzechu w obliczu Boga; honor — od grzechu w obliczu świata. Poczucie honoru jest zatem uznaniem solidarności ludzkiej i przyznaniem prawa sądu, jakie ma towarzystwo nad pojedynczym człowiekiem. Ztąd wyrósł sprawy i sądy honorowe, oczyszczanie honoru, bronienie honoru przyjaciela lub kobiety.

Kształcąc poczucie honoru, nie należy brać dumy i pychy za szlachetną godność osobistą; a tem mniej pojmować go w duchu pogańskim, jak to ma miejsce naprzykład, gdy człowiek, dopuściwszy się jakiegoś niecnego czynu, wyobraża sobie, że pozbawiając się życia, ocalić zdoła swój honor, albo też, że ubliży sobie, gdy przeprosi obrażonego przez się człowieka. Często bardzo honor złe pojęty staje się chorobliwym uczuciem, którem człowiek opanowany podobny jest do owego maniaka, co dobywał oręża wtedy, gdy nikt nie napadał na niego.

Uczucie to objawia się najczęściej u ludzi ubogich, przez los pokrzywdzonych, stojących na stanowisku zależnym; spotyka się nierzadko u nauczycieli i nauczycielek domowych, czyniąc stosunek z nimi bardzo przykry i trudny.

Do pogańskiego pojmowania honoru przyczynia się niezawodnie apoteozowanie Starożytności, karmienie jej umysłowemi płodami młodzieży przez całą epokę wieku chłopięcego. Wpływ rodziny powinien pojęcia skrzywione nauką sprostować. Jeżeli szkoła daje młodzieży za pokarm duchowy utwory, w których się odzwierciadlają pojęcia czyste-pogańskie, rodzina powinna zaszczeniać w niej pojęcia chrześcijańskie i duchem ich ożywiać uczucie honoru — to źródło wielu czynów szlachetnych.

Zbytecznym byłoby mówić, że zarówno przy kształceniu sumienia, jak uczucia honoru, krasomówstwo słowa musi iść koniecznie w towarzystwie owielu skutecznieszego krasomówstwa przykładu. Poparcie uwag czynem jest nieodzownym warunkiem powodzenia w pracy wychowawczej.

Rodzice pragną szczęścia swych dzieci. Zbierając mienie, chcą otoczyć synów i córki dobrobytem, na którym szczęście materialne polega; kształcąc ich umysł, chcą je wzbogacić duchowo, zapewnić im szczęście, jakim wiedza obdarza. O przygotowaniu jednak ducha do tego, by szczęście człowiek w samym sobie znajdował, mało kto myśli; a przecież jedynie w nas samych, w naszym uczuciu i charakterze, można zbudować przybytek dla tego niebieskiego gościa.

Umiejętność odczuwania szczęścia jest władzą, którą, ogó nie biorąc, za niezależną od okoliczności uważać można, bo nie okoliczności, lecz nasze pojmowanie i ocenianie ich, stanowi tu o wzbudzonem uczuciu. Księga żywota zawiera dla każdego to, co w niej jego oczy wyczytać są zdolne. Są ludzie niepragnący jej nawet otworzyć, a utyskujący nad tem, że przed nimi leży zamknięta. Inni, otworzywszy, przerzucają jej karty niebale, nie zatrzymując się nad żadną z piękności bogato w niej rozsianych. Tych ludzi nie uszczęśliwić nie zdoła; powoli wypala się w nich ognisko, które umiejętnością odczuwania szczęścia nazwać-by można.

Wypala się i znika, bo ludzie ci nie szukali szczęścia na właściwej drodze; oni żądali go od świata, — widzieli je w zewnętrznych bytu warunkach, a odwracali oczy od życia zawartego we własnej ich piersi. Nie starali się nabyć umiejętności życia, za pomocą tych sił, jakie w nich samych spoczywały; ich zapoznanie też wprowadziło ich na drogę nierównej walki, której skutkiem jest zużycie bezowocne czynności duchowej, wyężdżającej się ku niedoścignionemu celowi. Uganianie się za szczęściem, zależnem od warunków zewnętrznych, jest zapoznawaniem woli Bożej, która jedyne ognisko szczęśliwości w nas samych złożyła.

Zważmy, jak szczęśliwymi czyni ludzi spokój ducha, tak doskonale w sobie utwierdzone, że jego siła, przy starciu się z rzeczywistością zewnętrzną, nienaruszoną zostaje.

Męczennicy chrześcijańscy uśmiechali się do swoich katów, bo duch ich od cierpień fizycznych był silniejszy. Matka Machabeuszów cierpiała, lecz jednocześnie radowała się w duchu i w jego głębi była szczęśliwą, bo spokojną się czuła. Mędrzec starożytny, odpowiadający potężnemu Cesarzowi, że cała jego władza nie wystarcza na odjęcie mu szczęścia, był człowiekiem niezrównanie szczęśliwym.

Oderwijmy się tylko od zwykłego punktu zapatrywania się na to, co w świecie szczęściem się nazywa, jak: dostojęstwa, tytuły, zabawy, bogactwo: a nie trudno będzie nam pojąć, że szczęście takie — jest częzą marą.

Nie mówię tu o odrzuceniu wszelkiego materialnego dobrobytu, jako rzeczy do szczęścia niepotrzebnej. Dostatek, pozwalający nam nakarmić i odziać nasze ciało wygodnie, jest wielkim czynnikiem do urabiania się prawidłowo naszego ducha, zatem do uposażenia go w tę siłę, która sama w sobie szczęśliwość znajduje; ale sam dobrobyt szczęściem nie jest. Wszystko, co splywa zzewnątrz, utrzymuje nas w ciągłym niepokoju, obawie, w bezustannem pragnieniu. Nigdy pełnego szczęścia nie czujemy. Dobro posiadane — to tylko szczebel, po zajęciu którego wyciągamy pożądlivą rękę po dobro jeszcze większe, pragniemy się wspinać coraz wyżej i nie możemy nigdy osiągnąć spokoju. Wyteżona nadmiernie nie pragnień naszych zrywa się co chwila, a sama myśl, że to, w czem umieściliśmy szczęście, jest rzeczą znikomą, nietrwałą i zależną od okoliczności — już nam zdrój szczęśliwości zatruwa.

A jednak dążenie do szczęścia jest przyrodzoną potrzebą człowieczej natury. Dopóki ludzkość istnieje będzie, szczęście nie przestanie majaczyć przed jej okiem, jako pojęcie nigdy nie określone w swem znaczeniu ogólnem i przedstawiające się coraz w innej formie dla każdego z jej członków. Do *swój* szczęścia człowiek zawsze dążyć będzie. Uczynić mu je przystępnem za pomocą wychowania, czy to nie piękne, nie wielkie zadanie?

Doskonalenie się moralne, gdy do niego rodzice dzieci swe zaprawiają, stanie się dla nich szczęściem bezporównania większem, niż może niem być zbieranie skarbów dla bogacza. Miłość rodzinna, miłość ludzkości: to źródło rzeczywistego szczęścia! Samolubnych uciech może człowiekowi zbraknąć; tych, któremi dusza jego się nasycy, gdy żyje dla drugich, nie zbraknie mu nigdy.

Uczmy zatem dzieci nasze kochać silnie — co ukochania godne, kochać jak najgoręcej; lecz kochać rozumnie i czynnie, nie czułościowo, nie powierzchwnię serca — lecz jego głębią. Taka miłość zasłoni je od cierpień próżności, zarozumienia i py-

chy; zasłoni przed ranami miłości własnej i tę miłość własną w szlachetną godność osobistą zamieni. Samo cierpienie i boleść, jaka w życiu każdego spotykać musi, stanie się dla nich szkołą męstwa, a nie upadkiem, podniesie je na taką wyżynę doskonałości, do jakiej już nie dosięga cały tłum pozomych żądz, pokuszeń i namiętności.

Do takiego szczęścia, które właściwie jest dopiero owocem lat dojrzałych i dojrzałych przekonań, rodzice tylko przez kształcenie uczucia i woli dziecię przygotować mogą.

Jeżeli jednak taką jednolitość i hart ducha można nazwać spokojem szczęścia, ową pogodą, panującą zawsze na szczycie, choćby poniżej przepływały chmury, niosące gromy i nawałnice; to obok niego jest jeszcze zdawkowa moneta szczęścia codziennego małego szczęścia, co, jak ptak skrzydłem, umie uderzyć i spocząć na każdym przedmiocie, rzucić swój promień na każdą ciemność, jaskrawe światło przysłonić, stanąć zawsze w poprzek małuczkim nędzom żywota i nie dać im przystępu do przybytku szczęśliwości.

Jednostajność humoru, zawsze wypogodzone czoło, zadowolenie łatwo sprowadzone lada kwiatkiem na ścieżce żywota znalezionym: to są skarby, w które dzieci łatwo zaopatrzyć możemy. „Trzeba mieć dumę w ducha całości, a pokorę w każdej życia chwili”—mówi Krasinowski. Całość ducha—jego dumna wyżyna, niech będzie w sobie zamkniętym światem, nieprzystępnym wpływom zewnętrznym; ale „pokora w każdej życia chwili”—to łatwość otworzenia serca na najmniejszy szept natury, na wdzięk ludzkiego słowa, na uśmiech niemowlęcia, na piękno, gdziekolwiek oko pochwycić je może, lub ucho dosłyszyć, i zgromadzenie w sobie tych darów Bożych, które nas otaczają, a których tyłu z nas nie dostrzega nawet na małuczkie „pokorne” szczęście każdej chwili.

Matka może dzieciom dać takie szczęście, ukazując im: z kąd jego źródło wpływa. Niezależnie od pracy nad pogodą i szczęśliwością wewnętrzną, może otworzyć im oczy na wszystkie małe pociechy, jakie tak hojną ręką Stwórcy na naszej drodze rozsypał. Słońce, powietrze, kwiaty, zwierzęta, śpiew, słodycz rodzinnych i towarzyskich uczuć: to wszystko raduje, pociesza, byle mieć uśmiechem przyjąć każdą przybywającą rozkosz.

Śmiech, wesele, radowanie się dzieci każdym najmniejszym darem chwili, jest bardzo pocieszającym dla ich przyszłości objawem.

Bywają dzieci znużone, skwaszone, wiecznie niezadowolone, wiecznie pragnące nadzwyczajności, których nic nie bawi: te już mają zaród choroby, zniechęceniem zwanej, a toczącej. powoli, lecz wytrwale, organizm duchowy. Niech matka zbada przyczynę choroby, skoro ją dostrzeże. Czy dzieci nie posiadają za wiele i nie otrzymują ciągle nowych zabawek? Czy ich umysł nie zbyt pośpiesznie w kierunku niedzielnym był rozwijany? Czy nie są przynęcone wymaganiami nadmiernymi i krępującymi ich ruchy? Może nieukontentowanie i wieczne skwaszenie kogo z otaczających daje im przykład takiego usposobienia; może opiekunowie dzieci nie umieją podzielać ich wesołości i do niej zachęcać?

Któryś z pisarzy niemieckich zły humor nazwał „katarą duszy”. Jakkolwiek ten termin medyczny zabawnie wygląda w tym razie, dobrze wszakże określa rzecz samą, gdyż zły humor jest rzeczywiście stanem choroby ducha. W dzieciach jest on zupełnie nienaturalnym i musi chyba być wywołany fałszywym postępowaniem. Najłatwiejszym sposobem zaszczepienia go dzieciom nazawsze jest dogadzanie wszystkim ich kaprysom, ich bezustannie wzrastającym zachciankom, które przeradzają się w żądania, niemogące być nigdy zaspokojonymi.

Dzieci starsze, jeżeli postępowanie nauczycieli z niem jest właściwe, może już pojąć szczęście pracy, a przynajmniej doznawać wielkiego zadowolenia, po każdej jej dziennym spełnieniu. Postęp w pracy umysłowej może je napełniać radością i utrzymywać jego ducha w zdrowiu, jakie daje zawsze znajdowanie przyjemności w dokonywaniu obowiązku; i taki stan zależy najczęściej od sposobu postępowania nauczycieli i rodziców. Kto dał zasmakować wychowawcy z tej czary największej szczęśliwości: ukochania swych obo-

wiązków, ten może mu zapewni szczęście, a niezawodnie spokój wewnętrzny całego żywota.

Kończąc ten rozdział, przytaczając zdanie Spencera: „Szczęście jest najlepszym ze środków tonicznych”. Znaczy to, że szczęście daje nam zdrowie, ułatwia trawienie: zatem do funkcjonowania prawidłowego naszego organizmu się przyczynia. Ci przeto rodzice, którzy usposobili dzieci swoje do łatwego zadawania się i radowania każdą najdrobniejszą przyjemnością, ci zapewnili im potężny środek, ułatwiający im wzrost i silne rozwijanie się ciała.

## SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Hr. Kanty, starzejąc się coraz bardziej, oddawał się marzeniom, które porównać było można do tych, jakie haszysz i opium wywołują. Całe godziny siedział osłupiały, z wargą spuszczoną, z oczyma wlepionymi w ścianę lub podłogę, z cygarem zgąśniętym w rękę. Trzeba go było budzić do życia; kamerdyner obchodził się z nim, jak z dzieckiem, zmuszony przypominać mu godziny, powoływać go do rzeczywistego życia. Do tej rozkoszy kontemplacji przyłączyło się obżarstwo jakieś bezmyślne, dziwne, wieczny głód nienasycony, który zaspakał chciwie, niewiedząc nawet co je, a raczej co pożera. Hrabina ruszała ramionami, gderała na niego, ale to nie pomagało. Chwilami potem był śpiący i smutny.

Dla rozrywki wyprawiano go czasem do Warszawy, ale teraz, ta dawniej ukochana mu, stolica męczyła go. Nie lubił się ubierać; szlafrok był mu najmiłszym, wszelkie znużenie wyczerpywało go. Dobry tylko obiad trochę go ożywia i rozweselał.

Hr. Alfonsyna stawała się coraz rubaszniejszą; z pobożnością łączyły się posty surowe: a że Kanty jeść potrzebował i lubił, spierali się ciągle o to i życie obojga stało się prawdziwą powolną męczarnią.

Drugim wielkim zaprzątnieniem samej pani było żenienie syna. Jedynek, dziedzic znacznej fortuny, zresztą bardzo przystojny, w towarzystwie miły, nie orzeł, ale roztropny i dowcipny, hrabia Julian miał prawo przebierać nieco między kandydatkami. Matka dla niego była jeszcze bardziej wymagająca. Nie pilno mu żenić się było; wiedział, że ożenienie przyjdzie zawsze z łatwością, nie spieszył się i bałamucił tymczasem w sposób najrozmaitszy. Matka znajdowała to naturalnym i broniła go. Był to jej najukochańszy. Na zimę czasem wyjeżdżano do Warszawy.

O znikłej synowicy hrabia Kanty nie mówił nigdy, a żona mu jej nie przypominała. Czasem jednak, wypadkiem jakimś, imię jej na ustach się znalazło; naówczas hr. Alfonsyna nazywała ją awanturnicą i, nie wiedząc co się z nią stało, w przypuszczeniach swych dochodziła do najostateczniejszego kresu. Przypisywała jej zepsucie, rozpasanie, pogardę wszelkich względów i form towarzyskich; wostatku miała ją za zgubioną.

Hr. Kanty wdychał tylko; możeby występował czasem w obronie synowicy, lecz nadto się już stał leniwym. Myśl i mowa nżyły go: wracał do swoich marzeń bezładnych i w nich Ludmiła, konie, muchy, potrawy, ludzie obcy wirowali bez różnicy znaczenia i hierarchii. W duszy swej Kanty żonie przypisywał winę tego, że Ludmiła — zaprzepaściła się — jak mówił.

Posłuszny hr. Alfonsynie, z powodu postów, gderania i wielu innych nadużyć władzy, coraz mniej okazywał jej dawnej czułości. Dźwigał swe jarzmo, ale nawet czasem przed kamerdynerem skarżył się na ciężar jego.

Dziesięć lat — dla jednych z tych, których poznaliśmy w ciągu opowiadania, wydały się niezmiernie długimi, innym przeszły prędko, na wszystkich wycisnęły te piętna, które czas nieopatrzenie na ciele i duszy ryje i zostawia.

Sitko, który z rozpacz, po zgubieniu swego ideału, puścił się był do Włoch, znalazł do towarzyszenia sobie i za przewodnika a tłumacza, ubogiego Francuzika, dziecko ludu, chłopca poczciwego, zdolnego, ale szydercę i trzpiota zarazem.

Ten obowiązał się za przeżywanie doprowadzić go do Rzymu, gdzie także studia rzeźbiarskie miał na celu. Sitkę mu Opatrzność zesłała. Mały Fonsik pochwycił go jak pastwę. Kochał go, drwił z niego, trochę wyzyskiwał i robił z nim, co chciał. Prosperowi, który się języków uczył z niezmierną trudnością, a żadnym, nawet własnym, dobrze nie mówił, wygodnie było mieć w drodze takiego towarzysza, który wszystko za niego robił, posługiwał, wyręczał i dozwalał mu wlec się ze swoim smutkiem do jakiegoś celu nieokreślonego.

Fonsik lepił nadzwyczaj zręcznie, zwłaszcza karykatury i figurki charakterystyczne. Robił je prędko, z gliny, z chleba, z wosku, a talent jego Sitce imponował, było w nim coś istotnie rodzimego, pierwotnego, czego nawet studia w atelier popsuć i zatrzeć nie mogły. Prosper więcej teraz chciał widzieć niż myślał tworzyć. Wahał się nawet: czy nie ma porzucić zawodu, w którym tylu dawnych i nowych mistrzów go prześcignęło.

Dobrodusność jego, a żywość i dowcip Fonsika stanowiły sprzecznosc rażącą, lecz dwaj artyści zgodzili się z sobą dobrze. Fonsik bawił smutnego Sitkę, a dobre serce jego Francuz umiał uszanować.

Prawie się nie zatrzymując nigdzie, obadwa dobili się do Rzymu. Tu mieli się rozejść, gdyż Fonsik spodziewał się gdzieś dostać do pracowni, a Sitko nie był pewnym, co z sobą zrobi. Zamieszkałi jednak razem, na koscie Prospera, prowadząc życie skromne. Sitko, zaszedłszy do tego lasu posągów, który się zowie: — „Museo Pio Clementino” — został nim olśniony. Więcej niż kiedykolwiek poczał dowodzić i powtarzać, że niema co już rzeźbić i lepić, bo wszystko, co człowiek mógł stworzyć z marmuru, wyrzeźbione już i wykute zostało.

Stać, patrzeć, wielbić — zdawało mu się jedynie możliwym. Fonsik inaczej pojmował to. Piękność go zachwyciała, lecz szczególnie realizm, strona komiczna wprawiała w uniesienie; znajdował Starożytnych chłodnymi; myślał, że wiele z życia powszedniego jeszcze zrozumiałych dla tłumu rzeczy można w marmurze uwiecznić.

Na ideały nie myślał się porywać, wysmiewał je i karykaturował. Za to osioł i dzik marmuru, satyry i komiczne zabytki sztuki, wprawiały go w zachwycenie. Apollinowi Belwederskiemu, palce sobie do nosa przyłożywszy, okazał najwyższą swą wzdargę.

Po długim blakaniu się w Muzeach Fonsik znalazł gdzieś jakieś nieosobliwe pomieszczenie, a Sitko, nawykły do życia ubogiego, najął lice mieszkanie i rodzaj pracowni na małej uliczce w okolicy Piazza di Spagna.

O marmurze nie myślał wcale; gliny zapas zrobiwszy, sam jeden, ocieżyła, dla rozerwania się lepił i, dawnym obyczajem, co zrobił, doprowadziwszy do pewnego stopnia wykończenia, niszczył.

Stał się jakimś leniuchem.

Niekiedy zasiadał w Muzeum i sparty na ręku, sam, jak posąg nieruchomy, godziny trawił na wpatrywaniu się w niedościgłe doskonałości rzeźby starożytnej. Dla siebie samego miał najwyższą wzdargę.

Wkrótce Fonsik, który zupełnie inaczej i praktyczniej swe powołanie pojmował, a miał wiele sprytu i łatwości, od studiów poważniejszych przerzucił się do — fabrykacji antyków. Jakis handlarz, używszy go parę razy do restaurowania poobijanych popiersi złomków, namówił na fałszowanie. Nic tak do smaku i temperamentu nie przypadło Francuzikowi, jak to płatanie figlów i bałamucenie łatwowiernych a nieswiadomych rzeczy miłośników sztuki.

Zaledwie się nieco obywszy z tą fabrykacją antyków, Fonsik został w niej mistrzem, a choć na

tem nie zarabiał wiele, starczyło to mu na prowadzenie życia napół schodzącego w kawiarniach i umizgach do modelów.

Niekiedy zachodził do Sitki, czasem mu nawet swoje starożytne fałszerstwa pokazywał, zdumionym będąc, że ten człowiek niepozorny, ociężałego umysłu, nigdy się mu oszukać nie dał — i z wielką trafnością, milcząc, palcem tylko pokazywał mu jego błędy i strony słabe.

Fonsik czuł się daleko lepiej wyposażonym mógzowo od Sitki, a jednak musiał wyższość jego smaku i instynktu artystycznego uznawać.

Sitkę więc nawet wzywano czasem do rady i ocenienia prawdziwych i podrabianych zabytków.

Rok i dwa upłynęły tak dla Prospera w Rzymie, iż się ani spostrzegł, jak przeleciały, a on właściwie jeszcze nic nie rozpoczął; wahał się, przygotowywał. Pieniądze jego rozplywały się, nie na własne potrzeby, ale na chętną pomoc biednym towarzyszom, z zatrważającą szybkością.

Kapitał jego uszczuplał się znacznie; Sitko go tracił z obojętnością stoicką, zdając się bynajmniej o przyszłość nie troszczyć.

W trzecim roku, zamknawszy się zupełnie, Prosper rozpoczął ogromną jakąś pracę, do której samo rusztowanie kosztowało go kilkaset franków. Niemal przez cały rok lepił i naprawiał dzieła to dla wszystkich zakryte i niedostępne.

Traf jakiś nieszczęśliwy chciał, by źle obrachowane wiązanie wewnętrzne, ciężar gliny, niezręczność może twórcy tego pomysłu, spowodowały jednego poranku ruinię figury, która pracy i pieniędzy wiele kosztowała.

Sitko, wszedłszy zrana do pracowni, w której zastał gruzy tylko, stanął z rękami założonemi i uśmiechem na ustach. Los go wyręczył, gdyż on sam miał już ochotę arcydzieło swoje rozbić i zniszczyć.

Po tej próbie kosztownej Sitko lepił już tylko posążki niewielkie; bawił się w płaskorzeźby; rysował i chodził po Rzymie.

Przesiadywał czasem w kawiarni, słuchając wesołych rozmów, do których się nie mieszał, zawsze gotów dla jednego z kolegów bez grosza — służyć kawą, lodami, wszystkim, czego zażądano.

Do serca jego i kieszeni uciekano się często. Bywało jednak, że i on zostawał bez grosza; naówczas pościł i u Alfonsika pożyczzał, który pozostał mu przyjacielem.

Wzrósł on teraz znacznie i drogę sobie torował bardzo szczęśliwie. Fałszowanie antyków dało mu wprawę i smak może; wystąpił z kompozycją oryginalną, która najmniejszej oryginalności nie miała, ale była dowcipną, trochę za śmiałą, i umiejętnie wystawiona zjednała mu pewne imię i więźność.

Sitko, gdy mu ją pokazał, ruszył ramionami. Długo się od niego słowa nie mógł doprosić, w ostatku Prosper szepnął mu na ucho:

— Nie masz się czem chwalić. Mógłbyś lepiej, gdybyś chciał.

Rozśmiał się Francuz i pewien swego, tryumfował potem, gdy jego posążek, dobrze opłacony, musiał natychmiast być powtórzonem, stając się jedną z tych popularnych kompozycji, których mnogie kopie rozeszły się po Europie.

— Widzisz, kochany mistrzu — bo tak go zwal Fonsik — chcąc zyskać ogólne uznanie, nie potrzeba tworzyć arcydzieł, na których się ludzie nie poznają, ale głupstwa ładne, pociągające, zrozumiałe... i swawolne. Takie teraz czasy nastały.

Sitko zmilczał.

W ciągu lat pięciu spadek po kanoniku tak został nadwreżony, iż opiekun-prawnik, któremu go powierzono, napisał list z admonicją do Sitki, groząc mu zupełną ruiną, jeśli tak dłużej postępować będzie. Sitko, list przeczytawszy, poważnie się nad położeniem zastanowił, i — począł pracować dla zarobku, nie biorąc już nic z kapitału.

Stał się bezmyślnym, ale bardzo sumiennym wyrobnikiem. Zamiast lepić, podejmował się kuć z marmuru i nabył w powiększaniu małych wzorów, w kopiowaniu, wprawy wielkiej.

Ceniono go jako robotnika.

Miał tylko ten kaprys, że się nie wszystkiego podejmował, i rzeczy lichych lub wstrętliwych za żadne pieniądze nie chciał kować. Nigdy nie będąc nawykłym do życia wygodnego, łatwo się

z ubóstwem swem pogodził i życie zastosował do niego. Powierzchność, która nie była i dawniej pociągającą, teraz stała się tak pospolitą, tak mało mówiącą, że go nie wyróżniano od prostych rzemieślników dłuta, z którymi razem pracował.

Zestarzał się bardzo. Z językiem oswoił się nieco, ale mówił nim najdziwaczniej i mówić też nie lubił.

W tem milczącym a pracowitym zawodzie swym, zastygły napozór, zobojętniały, przetrwał lat kilka. Nie miał już, ani pracowni swej, ani zachcianek tworzenia na własną rękę i z własnego ducha. Wegetował. Fonsik, po kilku występach z dziełami zawsze tegosamego rodzaju, ze sławą powrócił do Paryża. Prosper pozostał w Rzymie.

Był to zawsze tensam człowiek, ale zgnieciony podstarzały, znużony.

W końcu dziesiątego roku niewiedzieć jakie dziwactwo, fantazyja, znużenie może, wypędziły go z Rzymu. Miał trochę zarobionego grosza, potrzebował wypoczynku: zachciało mu się widzieć te Włochy, w których żył odtakdawna, nie zapuściwszy się nigdy dalej nad Tivoli i najbliższe okolice.

Z kijem w rękę a węzełkiem na plecach, dobrawszy sobie dwóch młodych artystów do towarzystwa, z nimi razem Sitko, od osteryi do osteryi włokąc się, a podziwiając kraj, który przebywał, pociągnął do Florencyi.

Miał tu do widzenia nieznanę sobie dzieła sztuki, a przypadła nań ciekawość i ochota przypatrzenia się, nie już starożytnym doskonałościom, ale odrodzeniu kunsztu w pierwszych mistrzach, co tradycją dawną sztuki związali z ideami nowemi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## O BOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dalszy ciąg, ob. Nr 23).

Podobnego Gracyi Vernon czynu bohaterstwa w miłości bliźniego dokonała Helena Petrie, młoda dziewczyna, zamieszkała na jednej z wysepek archipelagu Shetlandzkiego: Unst. Cała miejscowa ludność mężka składa się tu z rybaków; gdy nadejdzie czas połowu, starcy tylko, kobiety i dzieci pozostają w domu, i raz w podobnej chwili straszna a nierzadka w tych okolicach burza zaskoczyła na morzu flotyllę łodzi rybackich, a wszystkie kobiety wyległy na brzeg płacząc i wzywając zmiłowania Bożego. Przecież wkrótce rozproszone po morzu łodzie zaczęły wracać kolejno do przystani, i już zdawało się, że nikt nie zginie, gdy nagle spostrzeżono brak jednej łodzi i ujrano ją też wkrótce, walczącą z wichrem i bałwanami. Ster miała skręcony, przechylała się silnie na bok i dwóch rybaków z jej załogi już poszło pod wodę, lecz dwóch jeszcze trzymało się na jej deskach trzeszczących, walcząc o życie. Ratunek mógł im tylko przyjść od łodzi innej, lecz wypuszczenie jej teraz na fale wydawało się wszystkim szalonym czynem nieużytecznego zuchwałstwa. Przecież Helena Petrie, młode, drobne dziewczę, uczuła w sobie nagle dość odwagi, aby się ważyć na to. Copędzej rzuca się w małą łódź; bratowa jej ulega szczytnej zarazie poświęcenia, ojciec ich, stary na jedną rękę kaleka, śpieszy, aby im ster trzymać, i aniół stróż mężnych zdaje się być z niemi, bo po grzbiatach fal ryczących już się zbliżają do rozbitków. Jednego z nich właśnie w tej chwili porwał z rozbitych desek bałwan, lecz Helena chwyciła go za włosy i ratuje, drugi rybak także się dostaje na łódź zbawczą i dwa życia zostają cudownie uratowane. wyrwane wściekłym toniom morskim przez dwie kobiety i w półbezładnego starca. Przecież nie wbiło to w dumę, w pychę żadną tej, która tu była pierwszą bohaterką i natęgnięciem do śmiałego czynu, Helena Petrie jadała do śmierci gruby chleb prostej dziewczki służącej, i tylko ci, którzy ją znali młodą i byli świad-

kami jej wielkodusznego bohaterstwa, opowiadali ludziom o jej czynie.

A Gracya Darling, czczona w całej Anglii bohaterka z Fern Islands, córka strażnika latarni morskiej na skale Longstone... Ta uratowała dziewięć osób z rozbitego parowca *Forfarshire*, szukających ratunku na łodzi, która przecież zaniosła ich tylko na stromą skałę wśród morza, splukiwaną przez fale, i czekała ich tam śmierć w nurtach wody, gdy przy brzasku świtającego dnia Gracya, która pełniła u latarni straż przedporanną, spostrzeżga nieszczęśliwych i woła ojca, aby ich ratować, bo przystęp morza już wkrótce, wkrótce porwał ich musi. Stary marynarz, jeszcze silny, lęka się niebezpieczeństwa, ale ona ma w piersiach śmielszego ducha, chwyciła wiosło, spuszcza na fale łódź ratunkową i ojciec, niechcący opuścić córki, towarzyszy jej, rozbitki zostają uratowani, uwiezieni do wieży Longstone, a gdy wieść o tem rozeszła się po kraju, angielski geniusz narodowy, jak się wyraża Smiles, wstrząsnął się wzruszeniem uwielbienia. Królowa przysłała bohaterce list własnoręczny i dar pieniężny, Gracya mogła żądać, czego chciała, lecz nie chciała nic nadto, aby jej wolno było pozostać w charakterze urzędowym przy ojcu na samotnej skale wśród morza, którą ją oddzielała od świata i oddzieliła już przez egoizm rodzicielski od szczęścia i miłości. Czytelnicy „Bluszczu“ przypominają sobie zapewne ten dramat cichy, spełniony u dzikich brzegów Northumberlandy; przypominają sobie, jak Gracya Darling, samotna po śmierci ojcowskiej, zamknęła przedwcześnie oczy, znużone bezustannem patrzeniem na pieniące się tonie srogiego u stóp tych skał morza. Bohaterka cichego ducha pochowana została z honorami wojskowemi, rozwinięto nad jej trumną flagę Anglii, bito z działa, jakgdyby składano na odpoczynek wieczny rycerza, a Smiles, uniesiony uwielbieniem i ztąd zadaleko posuwający się w porównaniu, pyta: — Dlaczego Gracya z Northumbrii nie ma pomnika, gdy Joanna d'Arc otrzymała go od swego narodu?

Ta Gracya z Northumbrii miała za życia dość hołdów i oznak uwielbienia, które z łagodną powagą precz odsuwała: księżne przebrane za wieśniaczki, przybywały do niej w odwiedzinę; malarze błagali ją, aby pozwoliła im odtworzyć swe piękne oblicze; teatry składały summy, dla niej ogromne, aby zachciała tylko ukazać się wśród sceny, odtwarzając chwilę szczytnej jej poświęcenia. Żadnej roli przybranej, żadnej szaty teatralnej: tak poprostu jak stała, tylko z włosiem rozchwianym, jak wtedy, gdy warkocz jej targał wichur, a morze ciskało jej w twarz piany białe... Ale odmówiła. Poco jej to było, do czego? Nie żądała sławy, nie potrzebowała pieniędzy: serce jej było smutne, nosiła w niem żalobę po jedynie przez życie kochanym człowieku, którego nigdy nie dano jej nazwać swoim? Już nic nie żądała od ludzi i świata, bo wszyscy ludzie i świat cały nie jej dać nie mogli i może zamykając oczy samotne, szepnęła: Ach! nareszcie...

Gdyby się pytać przeznaczenia, rządzącego losami tych, którzy żyją na ziemi, trzeba by je zagadnąć: dlaczego szlachetna Gracya Darling nie mogła dostać na własność szczęścia takiego jednego serca, jakich dziesięć zmęczy i stratuje nieraz pierwsza lepsza zręczna, bo zimna kókićka, pierwsza lepsza zalotna intrygantka? — Żmichowska ostrzega: — Nie wuj się Bogu!...

Bo gdyby tak mnożyć pytania, to dlaczego znowu Helena Petrie, nie dostała nic z tego szumu, zowiącego się sławą, która bezużytecznie otaczała Gracyę Darling? Tamtej właśnie byłaby może przyniosła coś uciechy, gdy tej nic z tego przyjść nie mogło — nie mogło utamować w jej piersi jednego westchnienia tęsknoty....

Między wielu przykładami szlachetnej filantropii stawia Smiles dobroczynną działalność, której widownią jest starożytny zamek Bamborough, wznoszący się na dzikiem, skalistym wybrzeżu Northumberlandzkiem, właśnie naprzeciwko Fern Island i strażniczej latarni Longstonu. Na wyniosłej, trójganiastej skale dźwigają się stare mury obronne, zbudowane niegdyś, jako twierdza przeciw napadom szkockim, później niezdołana warownia wśród domowych wojen Anglii, dziś zaś

jest to miejsce schronienia dla rozbitków, błogosławione przez zabłąkanych wśród morza żeglarzy. Lord Crewe, ostatni dziedziczny pan tego starożytego gmachu, obrócił go na ten stokrotnie święty użytek i jest w nim obecnie trzydziści sal, przygotowanych na przyjęcie nieszczęśliwych, nad których ratunkiem w każdą noc ciemną i burzliwą czuwa wzdłuż ośmiu angielskich mil wybrzeża patrol, zmieniany co godzin kilka i skoro ukaże się na morzu jakiś statek zagrożony rozbiciem, natychmiast łodzie ratunkowe zostają wyprawione ku niemu, a gdy tylko morze poczyna się burzyć i piętrzyć w bałwany, biją na zamku w dzwony, aby ostrzegać statki, że chwila jest niebezpieczną. Wystrzał armatni daje się słyszeć, skoro okręt w trudnym położeniu walczy z falami; drugi strzał donosi, jeżeli morze go pędzi ku brzegom, lub zachaczony osaczy na skałach, a biała chorągiew rozwinięta wtedy na wieży daje znać nieszczęśliwym, że ich niebezpieczeństwo zostało dostrzeżone. Jest to zarazem sygnał dla rybaków z wyseppek Holy Islands, ci bowiem mogą śpieszyć na pomoc z barkami swemi wtedy, gdy żadna łódź, odbijająca od stałego lądu, nie jest w możności utrzymać się między bałwanami, które powstają z bicia fal o skaliste brzegi. Stary zamek przedstawia się tu wyobraźni żeglarzy jak jakiś potężny duch zbawczy, anioł-stróż rozpościerający ze skały skrzydła opiekuńcze na morze, i choć lord Crewe jest już oddawna tylko garstką prochu, imię jego brzmi w ustach ludzkich, złączone z błogosławieństwem tysięcy. Wśród trwogi śmierci, wśród ciemności nocy straszliwych i dzikiego gwałtu żywiołów, cień jego zdaje się zstępować do ludzi, ratując i zbawiając.

Smiles zaraz po długim i pięknym rozdziale: *Bohaterstwo w czynieniu dobrze*, mieści jakgdyby jego dopełnienie, rozdział: *Współczucie*. Współczucie jest to siła serdeczna, z prawdziwej i szczerzej miłości ludzi powstająca, która też i w spełnianiu dobrych uczynków ma znaczenie najwyższe, bo jest w nich ciepłem, słodyczą, tkliwością—jest dla cierpiącego, dla biedaka, któremu łaska zostaje świadczoną, czemś więc jeszcze, niżeli sam datek, wsparcie jego nędzy. Współczucie—pisze Smiles—jest jedną z wielkich tajemnic życia. Podbija zło, wzmacnia dobro, rozbraja opór, miękczy twarde serca i rozwija w człowieku lepsze strony jego natury. Współczucie znaczy to samo co uczucie: tak głębokie i silne, że wychodzimy przez nie z własnej naszej istoty, aby wcielić się w inną, czuć za nią i z nią pospół. Niema bez tego miłości, niema przyjaźni szczerzej. Współczucie człowieka dla człowieka mieści w sobie dwa błogosławieństwa, bo napelnia równą błogością dwa serca: tego, co daje i tego, co odbiera; w sercu pierwszego to uciecha tkliwa i czysta. W sercu drugiego wzruszenie, pełne wdzięczności stodkiej.

Smiles przytacza słowa jednego z duchownych anglikańskich, którego zdaniem wzajemne współczucie ludzi między sobą stworzyło na świecie więcej nawet, niżeli praca. Usuwając z serc zawiść, niechęć, myśl wyłączną o interesie własnym, zbudowała tyle dzieł pięknych i dobrych, przyniosła ludzkości tyle zysku, ile wszystkie wysiłki ambicji osobistej wydać-by nie zdołały.

Współczucie ludzkie jest nam tak potrzebne, jak powietrze, którem oddychamy. Człowiek przy rezygnacji może znieść spokojnie stratę majątku, znaczenia i stanowiska, nawet zdrowia i sił; wtedy dopiero życie staje nam się ciężarem, gdy nie mamy przy sobie żadnego współczującego serca.

Nawet najgorszy człowiek zasługuje na to, aby ktoś wszedł w niego i okazał mu współczucie, które ludzie winni są sobie nawzajem. Trzeba nam pamiętać zawsze głębokie i wskrós prawdziwe zdanie Bentham'a, że szczęśliwość nawet najędźnierzego tak jak najszlachetniejszego jest niemniej niepodzielną częścią ogólnego szczęścia ludzkości, bo nikt z nas nie może czynić komus źle lub dobrze, aby nie czynił źle lub dobrze samemu sobie.

Nic tak nie rozbudza w człowieku serca, jak okazane mu współczucie. Podbija ono mocniej, niż jakakolwiek siła inna, i nieraz dobre słowo, dobre spojrzenie oddziałują potężnie na tych, których ugiąć nie zdołały żadne środki karne. Współczucie okazane tak prowadzi do posłuszeń-

stwa przez pozyskane nam przywiązanie, jak surowość budzi wstępną i opór. Smiles dodaje, że nie mylił się poeta — zapewne któryś z angielskich—gdy powiedział: — Siła ma tylko połowę władzy, posiadanej przez łagodność.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## KRONIKA PEDAGOGICZNA.

Pismo pedagogiczne, mające wychodzić pod redakcją p. Eugeniusza Babińskiego, rozpocznie swój byt z początkiem miesiąca Października pod tytułem: *Przegląd Pedagogiczny*.

Nakładem księgarni p. Elizy Orzeszkowej i S-ki wyszła broszura Dra Piotra Chmielowskiego: *Poezya w Wychowaniu*. Zastanawiając się nad znaczeniem wpływów poezyi na rozwój władz i uczuć człowieka, wykazuje autor potrzebę jej w wychowaniu. Zarzuty, jakie tu stawiać mogą ludzie, lękający się rozmarzenia i oderwania umysłu młodego od jasnego zapatrywania się na życie i jego interesa realne, uważa autor za tak niesłuszne, tak nieuzasadnione, jak obawy pewnych romantyków o wysuszenie źródła wielkich natchnień przez zetknięcie się z rzeczywistością. „Rozum nie wyziębia serca, lecz je uszlachetnia, rozszerza jego widnokreśli, czyni je świadomem siebie, strzeże od zabłąkań na manowce. A znowu uczucia potężne były i są zawsze jedynymi dźwigniami wielkich czynów w dziejach ludzkości; nadają rozmowi tę siłę, co zniewala wszystkich i do uznania prawdy nakłania. W uczuciach takich spoczywa zawsze największy urok poetów i ich wpływ potężny na jednostki i narody, oni bowiem uniemożliwiają ich radości i ich boleści; oni podważają ich życie, stawiając obok przemijających i mknących wdal wrażeń rzeczywistości, wrazenia o wiele silniejsze, a przynajmniej o wiele trwalsze—w wiecznotrwałych pomnikach pieśni“.

„Kto chce być zupełnym człowiekiem ten bez ciepła poezyi, bez blasku poezyi obyć się nie może“ — pisze dalej autor i podnosi poezją, „najpopularniejszą przedstawicielkę sztuk pięknych“ na stanowisko nieskończenie wyższe od tego, jakie jej Herbert Spencer wyznaczył w dziele swem *O wychowaniu*. Dzieło to, którego przekład posiadamy, z wielu względów w znakomite, strąca jednak poezją jak w ogóle sztukę, do rzędu zabawek i pozwala na nią w wychowaniu, ale tylko w takim charakterze: zabawki — szlachetnej wprawdzie, ale niemniej zabawki tylko. Wielką zasługą broszury D-ra Chmielowskiego jest to właśnie, że stanowi ona jakgdyby odpowiedź na twierdzenie Spencera, broniąc przez to wychowanie nasze od spalonego, fałszywego kierunku, któryby oparł się na tem, jedynie co się doradza, namacalną korzyścią wykazuje. „Poezya jest potrzebą i rozkoszą razem“ pisze Dr Chmielowski i z takiego znaczenia poezyi w życiu społecznym wyprowadza jej znaczenie wychowcze i miejsce, jakie zająć powinna w wychowaniu. Wszystkie strony istoty ludzkiej powinny być przez wychowanie harmonijnie rozwijane, wszystkie zdolności równomiernie kształcone, aby otrzymaną została ta równowaga uczuć, myśli i zdolności, która czyni człowieka oile można doskonałym. Poezyi też należy oddziaływać na uczucie dziecka i podnosić je do potęgi i siły wyższej, rozbudzać szlachetnie wyobraźnię, kształcić fantazję poetyczną; na co przecież nie starczy wykład literatury, jakkolwiek ma on swoje wielkie znaczenie w całości wykształcenia naukowego. Środkiem wychowawczego działania poezyi na młodzież czyni Dr Chmielowski czytanie arcydzieł. Braknie w pedagogice naszej systematycznych pod tym względem wskazówek i autor podaje też od siebie kilka bardzo ważnych i wybornych rad co do wyboru dzieł, jakie wychowawca czytaniem najpierw dzieci a potem młodzieży uczynić powinien. Spotyka przecież przystem społeczeństwo nasze zarzut ciężki, ale sprawiedliwy: chwalimy się wielką miłością poezyi; jakie przecież są tego dowody? Ogół jest niedo-

statecznie z poetami naszymi obznajomiony, niedo-statecznie się w nich wczytał, tak, aby to się znać mogło przyswojeniem ich sobie. Dzieła ich nie są też o tyle rozpowszechnione, jak to należy, i czy mało jest domów już zamożnych, w których jednak zbioru arcydzieł poezyi naszej nie znajdziemy?

Zapał nasz do poezyi jest zatem powierzchownym, poezya nasza nie żyła się z nami jej; arcydzieła nie są nam tak drogiemi, tak pożądanemi, abyśmy potrzebowali je posiadać, rozkoszować się niemi, a głównie, aby były dla nas tą ożywczą krynicyą ducha, jakiej właśnie potrzeba społeczeństwu, które może się poniżyć i zostać strąconem w dół, jeżeli nie będzie występować z głębi serc przeciw działaniu rozkładającemu ciągły i trwały opór.

Ale to niedość na tem: nasza miłość poezyi jest żadną miłością, skoro tylko to, co unosi nas w poezyi, jest lekceważonem i nawet wyszydzanem w życiu jako niepraktyczność i przesada. Przy takim pojmovaniu rzeczy prawda się staje, co Herbert Spencer powiada o poezyi, że jest to jedynie szlachetna zabawka.

Aby tak nie było, aby poezya, wprowadzona należycie między czynniki edukacyjne, mogła spełnić swoje wysokie zadanie wychowawcze, trzeba, aby w otoczeniu młodzi życie nie zadawało kłama jej ideałom wzniosłym.

Broszura D-ra Chmielowskiego jest wyborym do pedagogiki naszej przyczynkiem, wyborym dla wychowawców i matek wskazówką. Napisana zwięzle, potrzebuje być czytana uważnie, a wtedy nie urazi niczem najbardziej idealnego czytelnika i życzyć sobie można, aby się znalazła, nie tylko w każdym takim domu, gdzie dzieło Herberta Spencer liczy się do podręczników pedagogicznych, ale w każdym naszym domu w ogóle.

W Kwietniu bieżącego roku odbył się w Paryżu, w murach Sorbony kongres pedagogiczny nauczycieli i nauczycielek francuzkich. Prezydował minister oświecenia i zaznaczając się wśród rozpraw była mowa jego, pełna taktu i godności, wywołująca do umiarkowania i tolerancji, nakazująca, aby nauczyciel strzegł się stronniczości i fanatyzmu w przeprowadzaniu pojęć swoich. „Fanatyzm uiereligijny, jest tak złym, jak fanatyzm inny — religijny—mówił.— Nie znam nad to nic sprzeczącego się więcej z filozofią rzeczywiście liberalną, uic sprzeczącego się więcej z obowiązkami nauczyciela względem kraju, rodziny, sumienia, względem wiary wyznawanej przez innych, a która jest rzeczą najświętszą, nawet dla tych, co nie posiadają jej sami“.

Paryzkie Stowarzyszenie przeciw nadużyciom tytoniu na dorocznym swem zebraniu pod prezydencją uczonego członka Francuzkiego Instytutu, Bouley'a, ogłosiło konkurs na rozprawę: „Jak najskuteczniej zapobiedz paleniu tytoniu przez dzieci?“ Bouley zwracał się w przemowie swojej do matek, zwracając ich uwagę na higieniczną stronę rzeczy.

Na dorocznym, w Maju przypadłym zebraniu Francuzkiego „Towarzystwa oszczędności i pomocy wzajemnej, Leon Say, ekonomista, zakończył mowę swoją „o oszczędności“ szlachetnym i pięknym zwrotem do rodziców. Nazwał w niej dzieci kasą oszczędności, daną ludziom od Boga. „Tam-to nagromadzają się skarby dla starości waszej, — mówił, — oszczędności waszego serca i waszej pracy znaleźć się tam powinny, złożone w takie wychowanie dzieci, które uczyniłyby z nich uczciwych ludzi. Składajcie też w te szacowne skarby co macie najlepszego, a znajdziecie tam czasosm przywiązanie i szacunek, które otoczają starosm waszą troskliwością i miłością: oddadzą za wkłady uczynione, w wartościach nigdy nieocenionego poświęcenia i czułości. Nie każdy przecież jest dość szczęśliwy, aby mieć taką drogą kasę oszczędności i często traci się ją, już posiadając, przecież ludzie bezdzietni mogą sobie pozyskać dzieci innych ludzi. Niech więc przyłożą rękę do wychowania sierot, niech dopomogą do tego, aby ta młodzież wyrosła zacie, a starosm ich może się stać szczęśliwą przez taką operacją pomocy wzajemnej“.

# IRLANDYA

## RYS JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł)

(Dalszy ciąg).

Pomimo lekkiego polepszenia się stanu rolnika, wskutek przymusowych likwidacji, od 1850—1860 roku dwie prowincje najsrożej klęską społeczną dotknięte przez rewolucję: zachodnia, Connaught, i południowa, Munster, przedstawiały obraz opłakany. Mnóstwo proletaryatu wiejskiego zapadało tu w nędzę, ciemnotę i pijaństwo; prawa Peelowskie nie zasłaniały dzierżawców przed samowolą właścicieli, którzy stawczyli się sławnymi w dziejach przez swą nieobecność w kraju i marowanie pieniędzy zagranicą, podawnemu wyręczał się w uciskaniu ludu rządzcami i p. anomnikami. Statystyka exmissyj gwałtownych z dzierżaw i „mordów agrarnych”, prowadzona od r. 1829, nie świadczy wcale o polepszeniu się stosunków społecznych we wskazanym tu okresie.

Organizm narodowy powoli obumierał zaczął. Umysły ociężały; opozycja w parlamencie zniedołężniała. Intelligencja podtrzymywała myśl odrębności od Anglii w O'Connelowskiej *Repeal association*, ale i to towarzystwo chyliło się już teraz do upadku, aż wreszcie zupełnie upadło (1852). Na czele ruchu narodowego, objawiającego się w odporze dawany Anglii, stanęło teraz duchowieństwo. Agitacja wywołana przez arcybiskupa Dublina skierowała się przeciwko kościołowi anglikańskiemu; charakter jej był silnie ultramontańskim. Spory i podżegania wyznaniowe stanowią najważniejszy moment w dziejach irlandzkich od r. 1850 do 1860.

5. Przygnębienie duchowe trwało do r. 1861. W tym czasie dojrżeli nowi ludzie i pod wrażeniem wypadków europejskich zaczął się naród rozbudzać. Hasło do nowego życia wyszło zza Oceanu, dokąd od r. 1846 wywędrowało było milion Irlandczyków. W tłumie ludu bezmyślnego, który jednak na obczyźnie okazywał zdolności, jakich nie miał u siebie, poszli szukać spokoju i szczęścia za Oceanem ludzie myślący, owi stronnicy *sily fizycznej*, towarzysze, współpracownicy i uczniowie O'Briena, Mitchella i innych przewodźców rewolucji 1848 r. Ci unieśli ze sobą swoje bogi domowe: idee polityczne Irlandyi, nienawiść ku Anglikom i żądze niezależności. Na ziemi amerykańskiej przez ciągły przypływ emigracji, ciąglą łączność z krajem, dzięki zabiegom tych ludzi, wytworzyła się nowa Irlandya, wobec tamtej, cierpiącej i upadłej na duchu, sięgająca po godność wojującej. I ten fakt rozpołowienia się duszy narodowej również niejednokrotnie stwierdziła Historia: kraj śpi, a emigracja żyje i działa za kraj. Polityka, jakiej trzymała się Anglia, za przykładem Francyi i całej prawie Europy podczas wielkiej wojny amerykańskiej, przyczyniła się wielce do zorganizowania emigracji irlandzkiej w Ameryce i ułatwiła jej wystąpienie na widowni dziejowej w charakterze rewolucyjnym. Pod wpływem tej polityki zrodziła się w Irlandczycach amerykańskich myśl wywołania zbrojnego ruchu w Irlandyi. Emigracja irlandzka walczyła wiernie w szeregach Stanów Północnych; Anglia tymczasem, jak mogła, okazywała swą życzliwość dla Stanów Południowych: ten właśnie antagonizm podał Irlandczykom broń w rękę. Około r. 1862 założono związek *Fenianów*, nazwę swą od starodawnego ale bajecznego bohatera narodowego, wrzekomo z II czy III w. po Chrystusie, wywodzących. Związkowi zobowiązali się zbrojnie stanąć do walki z Anglią i dołożyć wszelkich sił do zaprowadzenia w Irlandyi państwa niepodległego w formie Rzeczypospolitej. Związek z takim celem szybko się rozszerzył po Stanach Zjednoczonych, a czasy wojenne rozrostowi jego wielce sprzyjały. Czując broń w rękę, widząc ramię przy ramieniu, emigrant nabierał odwagi i nadziei i za mgłą złudzeń nie dostrzegał żelaznej piersi rzeczywisto-

ści. Głównym organizatorem związku był O'Mahoney zmarły w r. 1877 w New-Yorku.

W Ameryce sprzysiężenie Fenianów ogarnęło całe wychodźstwo irlandzkie nad Oceanem, szczególnie w Marylandzie i nad wielkimi jeziorami. Organizacja, terytoryalnie urządzona, podporządkowaną była pod najwyższy ster, przy którym stał wspomniany O'Mahoney. Chociaż wojna domowa 1861—5 silnie zajmowała dla siebie Irlandczyków, jednakże już w r. 1862 posiadał fenianizm agentury w Irlandyi i stowarzyszenie upozorowane jakąś niewinną uciechą ludu; w Listopadzie 1863 r. założono w Dublinie organ feniański *The Irish people*, gwałtownością dorównujący dawniejszemu dziennikowi Mitchella: właściwy wszakże rozkwit fenianizmu na Zielonej Wyspie rozpoczyna się w r. 1864, kiedy zabiegi emissaryusza Stephensa wytworzyły już formalną organizację powstańczą. Podjęte do energiczniejszego działania dał kongres w Chicago, w Listopadzie 1863 r. odbyty. Na kongresie tym zobowiązali się naczelnicy Fenianów amerykańskich: wyzwolic Irlandyę z pod panowania angielskiego, ogłosić Rzeczpospolitą i wyjednać dla niej uznanie Europy. Jednocześnie postanowiono zasilac pieniędzmi i ludźmi związek istniejący już w kraju macierzystym i popierać wszelkimi środkami usiłowania organizacyjne Stephensa. Z Ameryki miała otrzymać Irlandya drożdże czynu: ludzi, broń i pieniądze do wywołania pierwszego ruchu potrzebne.

Pomimo wielce niespokojnych zamysłów rok 1864 upłynął całkiem spokojnie. Nadzieje stanowcze przesunęły się na rok następny. Już wtedy Richmond był w ręku Północy i wielka Rzeczpospolita mogła spod chorągwi swych całe krocie tysięcy uwolnić. Nie brakło Irlandczyków, którzy, wysłużwszy w wojsku lat kilka, zawodu wojskowego trzymać się już chcieli i gotowi byli iść na werbunek angielski. Była to podstawa do nowych nadziei: prz. z zwerbowanych z za Oceanu weszłaby rewolucja irlandzka, jak zaraza, w wojsko nieprzyjacielskie, a współdziałanie organizacji cywilnej zapewniłoby zwycięstwo. Istotnie: wielu Irlandczyków wysłużonych w wojsku amerykańskim wstąpiło w r. 1865 do armii angielskiej. Nieobliczając się już z siłami, nieroztrzając już doniosłości przyczyn i możliwości skutków, na jesień r. 1865 naznaczono powstanie.

Rząd angielski o wszystkim wiedział i wszystkim zapobiegł. W nocy z d. 15 na 16 Września obsadzono redakcją *Irish people'a*, uwięziono redaktorów: Luby'ego i O'Leary'ego, zabrano papiery ciężko obwiniające. Flota u wybrzeży zachodnich pochwytała wysłańców, płynących z Ameryki wraz z bronią, ludźmi i pieniędzmi. Rewizyję doprowadziły do wykrycia i zabrania broni, od paru lat nagromadzonej. Sądy wyjątkowe rozpoczęły swą działalność: w Dublinie jeden, w Corku drugi. Właściwa rządowi silnym i postępowym łagodność wobec przestępstw politycznych jeszcze raz objawiła się teraz w postępowaniu rządu angielskiego: nikogo nie stracono, skazano tylko wielu na długoletnie więzienie. Stephens, ujęty pod przybranym nazwiskiem, przy odwadze i roztropności uciekł i, niezrażony niczem, dalej dla sprawy umiłowanej pracował; nagroda nałożona na jego osobę nie zachęciła nikogo do wydania patryoty. Z przykrością zaznaczyć potrzeba, że patryota ten nie okazał się czystym; za czyny niemoralne własni jego współdziałacze z zajmowanego stanowiska na początku r. 1867 usunąć go musieli.

Tak tedy z wielkim szumem kroczącej powstanie okazało się bańką mydlaną: związek feniański nie zrobił w czynie nawet dziesiątej części tego, co robił w słowach. Wszystko, na co go stać było, ograniczało się do utrzymywania niepokoju przeciwko któremu Anglia dwukrotnie w ciągu r. 1866 ogłaszać musiała prawa wyjątkowe. Daleko łatwiej było przyoblekać się w siłę i wielkość w Ameryce niż w kraju. Na nowym kongresie, odbytym w Październiku 1865 r. w New-Yorku, wyznaczono formalny rząd, skarb i zarząd skarbowy Rzeczypospolitej Irlandzkiej, z tymczasowym siellickim w metropolii handlowej Stanów Zjednoczonych. Poobsadzano urzędy cywilne i wojskowe, powyznaczano ministrów i genera-

łów, i oczekiwać zaczęto przyjsia tego, co przyjsie nie mogło. Całe to wicherzenie feniańskie występuje w charakterze nieszczerem, obalamucającym, zarówno naród, dla którego było przedsięwzięciem, jak i opinią, którą shołdować dla siebie miało. Fenianie nie byli ludźmi sumiennymi: wiedzieli o tem, że przygotowania przez nich dokonywane nie odpowiadają celom wytkniętym. Wolno się mylić i błędzić, ale niewolno udawać i oszukiwać.

Podburzony przez Fenianów lud zaczął znowu powstawać przeciwko panom; zągęściło się odmawianie czynszów, działanie postrachem, podpalaanie zabudowań dworskich, napaści na mienie i osoby właścicieli. Liczba przestępstw agrarnych wzrosła. Sprzysiężenie, politycznie obezwładnione, socjalistycznie nabiera coraz więcej wagi. Demagogiczny charakter fenianizmu niósł w sobie już gotowe ziarna anarchii społecznej, podsyconej odwieczną narodową przeciwstawnością właściciela i dzierżawcy. Około roku 1870 stanęło przymierze pomiędzy stronnictwem wyobrażającym idee niepodległości narodowej Irlandczyków, a hałastrą kosmopolity zną, która wszelką narodowość za głupstwo uważa: Fenianizm i Międzynarodówka podali sobie ręce, i sojusz ten trwa do dni dzisiejszych.

Rok 1866 upłynął w Irlandyi bez zamachów zbrojnych, ale w Ameryce przyniósł dwukrotne najście Kanady: w Maju i Czerwcu. Działanie to, małemi siłami, bez prawdziwego poświęcenia, miłości i wiary podjęte, skończyło się haniebnie pochwytaniem lub ucieczką sprawców. Milicya miasteczkowa wystarczyła do zakończenia kampanii przedsięwziętej przez „Rząd Rzeczypospolitej Irlandzkiej“.

Nowy wybuch w Irlandyi naznaczono na początek r. 1867. Właśnie wtedy, kiedy ministrowie na otwarciu Parlamentu w Londynie przechwalali się spokojem panującym w Erynie, wypadała nowa iskra. Nie zapalił się od niej naród, bo w narodzie przygotowań do rzeczywistego czynu, mimo ogromnych środków, jakimi rozporządzał Fenianizm, nie było. Anglia znowu miała łatwą sprawę, i sprawiła się też prędko. Dnia 11 Lutego słabiuchny oddział wojska angielskiego odparł napad na zamek w Chester (w Anglii, nad Morzem Irlandzkim), z którego powstańcy chcieli zabrać broń i amunicję; najaztury Anglicy stłumili ruch pod Killarney (hr. Kerry — niedaleko od Oceanu) w d. 5 Marca rozpedzili tłumy zbrojne pod Droghedą (hr. Louth — nad M. Irlandzkim). Po tych klęskach Fenianie z Ameryki próbowali jeszcze szczęścia w Czerwcu i usiłowali wylądować pod Waterford (na wybrzeżu południowym); atoli flota angielska czuwała nad bezpieczeństwem brzegów i obróciła wniwecz zamysły przeciwników. We Wrześniu napadli spiskowi na więzienie Manchesterkie i uwolnili z niego swoich, a w Grudniu wysadzili w powietrze część więzienia Clerkenwell w Londynie, zkad również chcieli wydostać osadzonych tam towarzyszy. Celu nie dopięli, a wybuch wydarł życie lub przyniósł ciężkie kalectwo pięćdziesięciu osobom niewinnym, zamieszkującym w sąsiedztwie więzienia. Na takich gwałtach, gromadnych i jednostkowych, na morderstwach, podpalaaniu i niszczeniu, nic nie zyskała Irlandya — a nic też i Historia. Sądy były znowu w ruchu i kilku więźniów stracono.

Szereg tych czynów, wyzywających Lwa Brytańskiego do walki, zakończyła najście Kanady w końcu Maja 1870 r. Spełniło się ono mimo ostrzeżeń i środków ostrożności przedsięwziętych przez Granta. W trzecim dniu ruchawki (23 Maja) władze republikańskie zatrzymały szczątki rozbitego oddziału, a pomiędzy nimi i generała O'Neila, w przekonaniu, iż się wszystko skończyło. Tymczasem w d. 26 Maja nowe cztery pułki feniańskie wtargnęły na ziemię kanadyjską i po nowym rozbiciu, Amerykanie nowy mieli kłopot. Straty Fenianów w rozprawie stoczony w d. 27 Maja wyniosły 8 zabitych i 20 ranionych.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ

Na tegorocznej wystawie zwierząt otrzymały nagrody następujące panie: za chów koni arabskich hr. Marya Stadnicka z Deneszowic (Wołyń) medal złoty; hr. Ludwika Działyńska z Trojana (Wołyń) medal srebrny. P. Teodorze Burbinie z Belwederu (Kowieńskie) potwierdzono nagrodę otrzymaną w Rosieniach 1879 r. za wierzchowca rasy angielskiej. Z działu drobiu: Księżna Marya Czetwertyńska z Suchowoli otrzymała medal srebrny, za kury rasy hudońskiej dorking i krzyżowanie ich z kurami krajowemi; oraz za kaczkę rasy Rouen; p. Julia Schürrowa z Grodziska za chów drobiu w ogólności otrzymała medal brązowy; za przyswajanie kur ras zagranicznych—list pochwalny. Medal brązowy przyznano p. Annie Janaszowej z Płochocina za chów kur rasy brabantkiej i angielskiej. Gdyby dawano nagrody za gospodarność, z której korzysta ogół, przyznać-by należało jedną z nich tejże pani, za bardzo dobrą, czystą i uczciwie umiarkowaną cenę śmietankę, która codziennie bywa dostarczana z Płochocina do Warszawy. Obora Płochocińska otrzymała też medal srebrny, udzielony p. Augustowi Janaszowi, za bydło rasy hollenderskiej. P. Franciszka Ruszczykowska otrzymała za kury krajowe nagrodę pieniężną rs. 50.

Z zapisu uczynionego przez zacną p. Rapacką na rzecz szwaczek i nauczycielek prywatnych, otrzymało wsparcie z procentu półrocza I-o: szwaczek 20, nauczycielek 12.

Malarnia hr. Maryi Załuskiej, nosząca nazwę Zakładu Ś-go Łukasza, ogłasza w regulaminie tegoż zakładu warunki, na jakich pracownice przyjęte być mogą. Znajomość rysunku jest pierwszym i niezbędnym warunkiem przyjęcia do zakładu, mimo to jednak, osoba pragnąca wejść do zakładu, obowiązana jest odbyć kurs przygotowawczy, trwać mający najmniej miesiące cztery, z płacą po rs. 10 miesięcznie. Paragraf 5-ty regulaminu objaśnia rzecz pod tym względem, że „potrzebne jest do malarstwa dekoracyjnego, do malarstwa na szkło i porcelanie, uzdolnienie specjalne“, niemniej przebywać go musi nawet osoba już w tych gałęziach pracy malarskiej udoskonalona, jak sądzić trzeba z tego, co wyraża w dalszym ciągu paragraf wspomniany, że „przyjęcie do grona pracownic, zależne jest od przejścia przez szkołę przygotowawczą“; a paragraf 7-my dodaje, że ów przygotowawczy kurs czteromiesięczny, trwa nawet w razie, gdyby przed upływem tego czasu roboty wykonywane przez uczennicę kwalifikowały się do zapłaty. Usprawiedliwienie tego znajdujemy w wyżej przytoczonym paragrafie 5-tym w słowach, że osoba należąca do zakładu „nabywa pewnych praw do zarobku w zakładzie i do korzyści w przedsiębiorstwie“. Zatem owe cztery miesiące czasu zakładowi oddanego i 40 rs. opłaty szkolnej stanowią wpisowe, za które osoby nieposiadające pewnych specjalnych wiadomości w malarstwie na szkło, porcelanie i w malarstwie ornamentacyjnym, pobierać je będą, inne zaś, które już są do tej pracy pendzla dostatecznie uzdolnione, poświęcą je na ogólną korzyść zakładu.

Szkoda, że regulamin wyraźnie i jasno rzeczy tak nie stawia i że osoba interessowana dopiero dozukiwać jej się musi. Nauka malarstwa olejnego wymaga, naturalnie, nauki dłuższej, droższej, i paragraf 10-ty podaje też, że istnieć tu musi osobna umowa między uczennicą a przewodniczącą zakładu, czyli p. Maryą Łubieńską. Osobom w malowaniu olejnym wykształconym może być

czas szkoły przygotowawczej skróconym, a nawet „wyjątkowo“ darowanym zupełnie, co jednak z opłaty 40 rs. bynajmniej nie zwalnia: zatem powtórzyć możemy, że jest to poprostu wpisowe.

Nasuwa się tu pytanie: czy nie jest ono zbyt uciążliwym dla tych, które już nauki w zakładzie nie potrzebują? Malarkom olejnym, zwolnionym z czteromiesięcznej pracy darmo, zakład obiecuje rozłożyć je na miesiące kilka. Innym opłata szkolna, w razie niemożności wnoszenia jej, może być prenotowana i po ukończeniu nauki, straconą z zarobku w stosunku 25%.

Uczennica, wykształcona w zakładzie, obowiązująca się, po przyjęciu jej do grona pracownic, nie opuszczać zakładu przez rok jeden, z wyjątkiem tego jedynego wypadku, gdyby przez miesiąc cały zakład nie dostarczył jej roboty. Pracownica zamierzająca opuścić zakład po roku, lub też w czasie następnym, powinna uprzedzić o tem przełożoną na trzy miesiące naprzód. Ta, która by wydała się z zakładu bez wyżej przytoczonego powodu, już do niego napowrót przyjętą nie zostanie. Choroby lub tym podobne względy ważne dają pracownicy prawo do urlopu. Pracownica, która przebyła w zakładzie rok cały, ma prawo w razie choroby do zaliczenia na późniejszy zarobek, w stosunku jednemu miesięcznemu zarobku.

Pracownikom zakładu nie jest wolno podejmować się żadnych robót prywatnie i na własny rachunek dokonywanych. I tu zapytać się należy: czy warunek ten nie jest uciążliwym? Nie możemy również zrozumieć znaczenia słów objaśniających ten zakaz, którego złamanie grozi pracownicy wydaleniem z zakładu. Paragraf 15 opiewa, że postanowionem to zostało, ponieważ „zakład Ś-go Łukasza bierze na siebie odpowiedzialność tak artystycznego, jak i dokładnego wyrobu prac mu powierzanych“. To, co poza zakładem na własny rachunek i osobistą odpowiedzialność pracownica wykonywa, w niczem zakładu nie dotyczy i nie może ani mu przynosić ujmy, ani jego moralnej odpowiedzialności obciążać. Całe też to objaśnienie pozostaje dla nas najzupełniej ciemnym i można jedynie wnosić, że zakaz roboty poza obrębem zakładu chce usunąć możliwą konkurencją, jakaby postronne zajęcie pracownic zakładowi grozić mogło. I to należało szczerze i otwarcie wypisać.

Wynagrodzenie pracownic przez zakład wynosić będzie przy zdobieniu wyrobów przemysłowych podług uznania przewodniczącej od 60 do 75 procent od ceny obstalunkowej. Przy malowaniu porcelany dostaje się pracownicy 30 procent; jeżeliby zaś do ornamentacji potrzebne było w znacznej części złoto, platyna, lub srebro, wówczas wynagrodzenie uczennicy schodzi do 25 procenta. Przy ornamentacji delikatniejszej i więcej drobiazgowej, zapłata podnosi się, wedle uznania przewodniczącej, do 40 procentu ceny obstalunkowej.

Z tego wnosić należy, że wszystko, co pracownica do wykonania roboty swej potrzebuje: farby, narzędzia, wzory, są jej przez zakład dostarczane.

Paragraf 20 ogłasza, że pracownice, któreby wolały pobierać wynagrodzenie, nie od sztuki, ale dziennie lub miesięcznie, mogą to w umowie z przewodniczącą otrzymać, ale wtedy zarobek ich musi być niższym, ponieważ zakład wystawiony jest wtedy na większe ryzyko.

A więc zakład nie może zapewnić z góry pracownicy, robiącej od sztuki, zarobku ciągłego? Jakże zatem może im zakazywać roboty postronnej?

Nie spotykamy w regulaminie żadnej wzmianki o wynagrodzeniu za malowanie lub kopiowanie, wchodzące już w dziedzinę sztuki rzeczywistej, do jakiej przecież należy najzupełniej malowanie obrazów kościelnych. A przecież w rozkładzie pracy robotnic spotykamy dział: malowania obrazów.

Paragraf 23 zapewnia pracownikom 10 procent od czystych zysków zakładu, do czego mieć będą prawo po zamknięciu rachunków każdorocznych. Ta dywidenda rozdzieloną będzie pomiędzy nie w stosunku do pobranej w ciągu roku płacy z uwzględnieniem przełożonych każdego wydziału, którym płaca, jaką w ciągu roku pobierały, liczona będzie podwójnie, jako cyfra obrachunkowa przy podziale zysków. Przełożonych takich jest w zakładzie trzy, po jednej na każdy wydział pracy, wybierane zaś będą z pomiędzy pracownic.

Tylko połowa tej dywidendy będzie wypłacana na ręce pracownicy; druga połowa zostanie umieszczona na jej nazwisko w kasie Oszczędności w Warszawie. W razie gdyby pracownica wydała się z zakładu, lub została przez niego wydalona, traci prawo do zysków z roku bieżącego, ale książeczka oszczędności z lat poprzednich wydana jej zostanie.

Tylko robota nienaganna, bez poprawek przełożonej oddziału wykonana, daje pracownicy prawo do wynagrodzenia w stosunku wyżej przywiedzionym. W przeciwnym razie odtrąca jej się wynagrodzenie za czas przez przełożoną wydziału stracony na poprawianie jej roboty. Pracownica jest także odpowiedzialną za popsucie lub uszkodzenie przedmiotów oddanych jej do ornamentacji.

Ponieważ obstalunki na prace w zakładzie nie zawsze równie się rozkładają na wszystkie trzy wydziały: malarstwa olejnego i farbami wodnymi, malarstwa na porcelanie i malarstwa na szkło, paragraf 9 wyraża życzenie, aby każda z pracownic posiadała choćby elementarne wiadomości we wszystkich trzech wydziałach, ponieważ przewodnicząca zakładu nie może poręczyć za dostateczną pracę w każdym z wydziałów pojedynczych.

Spotykamy na innem miejscu regulaminu wzmiankę, że malarstwo olejne do kościołów okazało się gałęzią pracy najzyskowniejszą, jak to dowodzi doświadczenie pozyskane przez przewodniczącą zakładu.

Każda z pracownic zakładu Ś-go Łukasza stwierdzić powinna własnoręcznym podpisem, że regulamin tegoż zakładu zna i zgadza się w zupełności na niego.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją i na tych samych warunkach.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 1-szy powieści pod tyt.: *Róża wśród cierni*.

**TREŚĆ.** Wspomnienie Tatrów, (Sobótki), poezya, przez Kazimierza Glińskiego. — O wychowaniu macierzyńskim, (dokończenie), przez Zofią Kowerską. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Obowiązek, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — Kronika pedagogiczna. — Irlandya, Rys jej dziejów, (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej.



# RÓŻA WŚRÓD CIERNI

P O W I E Ś Ć

przez autorkę „Stefana Lawrence.”

Przekład z angielskiego.

## ROZDZIAŁ I.

— Donieś im że umarłem. Już mnie tu nie będzie, gdy ten list otworzą. Czuję że lżej będę umierać, wiedząc, że wszystko między nami skończone. Napisz: „Umarł o zachodzie słońca.” Wtedy będę spokojny.

— Ależ, Rupercie! Gdzie jest życie, tam jest i nadzieja.

— Napisz jak cię proszę, Donaldzie. Błagam Boga, aby mi już dał pokój wieczny z chwilą zachodu słońca! Jedyne dobrodziejstwo, jakie mi życie jeszcze dać może, jest rychła śmierć! A jednak jestem młody i posiadam wiele najcenniejszych dóbr tego świata. — Czy słyszałeś o ludziach, którzy umierają z miłości? — O Donaldzie! stary druhu, dla czego miłość, ten wielki dar nieba tak unieszczęśliwia niekiedy? — Ale jak tu strasznie gorąco! — Gdybym mógł przed śmiercią położyć się na wilgotnych omszałych kamieniach pośród wiejskiego strumyka; usłyszeć szmer tej wody tak świeżej, tak czystej!

— Mogę ci przynieść wody z pobliskiego źródła.

— O to nie wszystko jedno — powiedział chory. — Pragnę ochłodzenia od fal z angielskiego strumyka, nad którym wiejskie kobiety gawędzą pogodnym wieczorem, a rumiane dzieci igrają dzień cały. — Kilka kropel tej wody uleczyłoby gorączkę. O! gdybym mógł tylko zanurzyć w niej ręce palące, Donaldzie!

— To gorączkowe pragnienie, Rupercie; ale gdybym mógł popłynąć do Anglii po wodę dla ciebie, uczynił bym to chętnie.

— Słyszysz szmer strumyka, widzę kamienie, okryte zielonym mchem; ciemna jodła stoi w pobliżu i ptaszek śpiewa na jednej z jej gałązek. Czy jesteś pewny, że tu nie ma jodły i strumienia?

— To złudzenie; Rupercie. Obrazy przeszłości nawiedzają nas, gdy umysł jest znużony.

— To nie umysł, to moje serce jest znużone. Czy napisałeś Donaldzie, że już nie żyję?

— Jeszcze nie, ale jeżeli koniecznie tego pragniesz, napiszę...

— Proszę cię, napisz. Nie mogę dłużej żyć, wiem o tem doskonale. Niech zatem dojdzie to w należyłym czasie do tych, którzy o tem wiedzieć potrzebują, że umarłem...

— Jak można w twoim wieku, tak się wyrzekać nawet nadziei życia; masz obowiązki...

— Adryan je spełnidziesięć razy lepiej odemnie. Jak można żyć, działać, wypełniać obowiązki, kiedy serce już w nas zamarło, kiedy życie jest ciężarem.

— Jeszcze nie jest tak źle z tobą!...

— Jest tak źle, i gorzej jeszcze — jęknął chory.

— O! ta pożerająca gorączka! — Ach! trochę chłodu zimnej wody, co szmerze między zieloną trzcina!...

Gorszego miejsca dla chorego na gorączkę, trudno było wybrać. Leżał bowiem wśród amerykańskiego lasu, na gruncie bagnistym. Na malej polance stały dwie chaty. Popołudniowe słońce lało na las światło i upał; ptaki pochowały się w najgłębsze cienie drzew; kwiaty zwiesiły zwiędłe kielichy, a trawa pożółkła w około. Wyziewy bagnistej ziemi napełniały powietrze mdłym, niezdrowym zapachem.

Chory kazał być przed chwilą wynieść się przed chatę, a silne ramiona przyjaciela przeniosły go troskliwie pod cienie drzew. Tu słaby wietrzyk dolatywał do niego i chory leżał z tęsknym wzrokiem, zwróconym w złudzeniu na szmerzący posród traw strumyczek wody, ciepłej od żaru promieni słonecznych. Wierny towarzysz usiadł obok niego, starając się przynieść mu jaką ulgę w cierpieniu, ale obadwa byli pewni, że koniec już bliski.

Tego właśnie poranku, podróżny oddalający się z tych stron, przechodził przez polankę i ofiarował się zanieść listy dwóch przyjaciół do Camargo, gdyby tego sobie życzyli. Chory ożywił się z ra-

dości, ale wymógł na przyjacielu, że doniesie, gdzie pragnął, o jego śmierci.

— Umarę z pewnością przed zachodem słońca, po co masz czekać, po co drugi raz pisać? — mówił. — Widzę już ładną, zaszepioną twarzyczkę jedną, pochyloną nad listem, słyszę głosik wołający: „Ach! Rupert umarł! Już go niema...” — Widzę cały ten obraz doskonale! Lady Leestone przybiegnie i zawoła: — Rupert umarł! Moja droga, musisz kupić mnóstwo krepy, pamiętaj na twoje stanowisko — pamiętaj że jesteś Lady Clyde. — Floryna się rozplacze, ona ma zawsze na zawołanie niewyczerpaną studnię łez. Potem się zjedzą przyjaciółki, aby ją pocieszyć. Przyniosą jej cukierków, potem będzie rozprawa nad krepa i wdowim czepek, Floryna przymierzy kilka i wybierze ten w którym będzie jej najładniej. Kiedy go włoży, znowu zapłacze: — O mój biedny Rupert — zawoła łamiąc rączki — czyż on naprawdę nie żyje? Za kilka dni rana się zagoi. — Donaldzie, słyszę szmer wody, czy to rzeczywiście woda płynie? Trzciny i trawy drżą, ach! Boże, zobaczę ten strumyczek ukochany...

— To tylko złudzenie Rupercie. Dałby Bóg gdyby to mogło być prawdą.

— O gdybym mógł naprawdę obmyć w niej ręce i ochłodzić palące czoło! — Ale gdzie jest mój list? patrz już tyle napisałem...

— Kochana żono!

Kiedy to pismo otrzymasz, już żyć nie będę. Długo chorowałem na żółto febrę. Trzy miesiące przeżyłem wśród dzikiej, posępnej polany w lasach Camargo. Zaledwie mam siłę te kilka słów skreślić, Donald napisze resztę, słyszę szmer płynącej wody, tak mi szumi w uszach!...

— Widzisz, jak dużo napisałem. Czyś uważał Donaldzie.

— Uważałem — odparł przyjaciel.

— Niepotrzeba dwóch listów. Teraz tylko dodaj do tego u spodu:

„Nie żyje. Umarł o zachodzie słońca.

„Donald Rancorn.”

Róża wśród cierni 1.

Niechając drażnić chorego, Donald napisał powyższe słowa.

— Pozwól niech przeczytam, póki oczy moje jeszcze widzą — rzekł chory a potem dodał. — Zadresuj list do Lady Clyde, na ręce Lady Leestone, Lahore, w Indyi.

— Już napisałem.

— Jeszcze jedną przysługę musisz mi wyświadczyć. Noszę na szyi srebrny medalion. Weź go i otwórz. O Boże, co ja przeżyłem, odkąd go noszę!

Donald otworzył srebrny medalion zawieszony na szyi Ruperta. Wewnątrz był promień jasno złotych włosów i suche zwinięte listki białej lilji.

— Teraz pomóż mi pisać — rzekł chory i skreślił przy pomocy przyjaciela następujących kilka wiersze:

Przed śmiercią, najdroższa, a utracona moja, posyłam ci tę pamiątkę — włosy, które mi dałaś i lilję, którą ukradłem jednego wieczora z twego bukietu. Ceniłem te skarby, jak nigdy nie ceniłem ani złota, ani życia. Umieram, najdroższa, daleko od kraju — umieram z gorączki i nieznośnej tęsknoty, z twarzą twą przed oczyma i twoim głosem, brzmącym mi w uszach: z sercem pełnym boleści, jak w dniu, kiedyś je tak głęboko zraniła, z żalem którego nie ukoić nie może. Bądź dobrą dla mojej żony i dziecka, jeśli je kiedy zobaczysz. Spójrz na zachód, kiedy słońce zapadać będzie, w stronie zachodu pochowaj mnie, skoro umrę — wierz mi — z miłości dla ciebie!

— I tego już też dosyć Donaldzie. Dodaj tylko, jak tam: — Umarł o zachodzie słońca.

Teraz, bez żadnego wahania, Donald napisał.

„W lesie Camargo. Umarł o zachodzie słońca.

„Donald Rancorn.“

Słaby uśmiech rozjaśnił twarz chorego.

— Zadresuj to do żony mego stryjecznego brata, pani Adryanowej Clyde, w Clydesdale Towers, Wollshire. — Wyobraźnia moja idzie za tym listem — ciągnął dalej. — Będzie otwarty przy śniadaniu, w pięknej sali starożytnego zamku, zawsze pełnej światła i woni. Ta która go otworzy... — O Boże! jaką ona ma twarz przepiękną, ślicznie zakreślone brwi, oczy jak włoskie niebo: wielkie, lazurowe, przeczudne oczy, pełne światła, z ciemnymi długimi rzęsami. A przecież to ona — ona sama skazała mnie na wygnanie — po którym śmierć następuje.

— Zapominasz o żonie, Rupercie — szepnął jego towarzysz.

— Nie, nie zapominam. Biedna, grymasna moja Floryna! wszakże napisałem i do niej. Żona mego kuzyna, moja siostra Eleonora, nie będzie nosiła wdowiego czepka, ale schowa mój list, aby go przeczytać samotnie. Obróci jasną twarz ku zachodowi, a oczy jej napełnią się łzami. Dosyć cierpiała, kiedy mnie oddalała od siebie. — Ukłęknie na trawie, a wyciągnawszy ku zachodowi ręce, zawoła: — Bądź zdrów Rupercie! spotkamy się znowu w niebie!... Będzie blada, spokojna, łagodna, głos jej tylko będzie cichszy a oczy mniej błyszczące, kiedy o mnie mówić będzie, i codzień o zachodzie słońca powie:

— Biedny Rupert, umarł tak daleko od nas wszystkich!

Ale ja będę przy niej, Donaldzie; jeśli duchy mają wolność przebywania gdzie pragną, to mój duch zawsze będzie przy niej.

Zatrzymał się na chwilę.

— A dziecko! — zawołał nagle. — Jak to dziwne że mogłem zapomnieć, o malej jasnej główce tak podobnej do Floryny. Zdaje mi się, że to był sen, wśród którego małe usteczka całowały mnie kiedyś, drobne rączki głaskały łagodnie.

— Rupercie — rzekł Donald poważnie — jak to może być? Ojciec, który nie ma słów błogosławieństwa dla syna, zostającego sierotą.

Wyraz smutku odbił się na twarzy chorego.

— Niechaj mi Bóg przebaczy — rzekł zeicha — ale zapomniałem o nim! Eleonora temu winna! Nie pamiętam o niczym innym, kiedy o niej my-

śla. Biedny mały, będzie kiedyś panem na Clydesdale a to nie bardzo szczęśliwe dziedzictwo.

— Dla czego Rupercie?

— Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, ale Clydów przesładowało zawsze jakieś nieszczęście. Czytałem gdzieś, że jeden z moich przodków niesłusznie zagarnął własność kościelną i że za to gniew niebios rozciągnął się na cały nasz ród. Wszyscy Clydowie umierają młodo i nagle, a ja, jeden z ostatnich, umieram z miłości i tęsknoty, strawiony gorączką pod obcym niebem. — Ale śmierć jest słodką dla mnie, bo wystawiam sobie, że Eleonora częściej myśli będzie o mnie, gdy już żyć przestanę.

Sir Rupert Clyde zamknął i smutny, ciężko smutny wzrok jego zwrócił się w stronę, z której zdawało mu się słyszeć szmer srebrnego strumyka, o którym marzył. Czy umrze rzeczywiście, gdy słońce palące na bezchmurnym amerykańskim niebie zapadnie za lasy? Przyjaciel, który czuwał nad nim, ocierając z kobiecą czułością pot z pięknej, ogorzalej twarzy chorego i powiewając nad nim grubym, szerokim liściem, patrzył na biedaka z żalonym współczuciem. Tak umierał w kwiecie wieku, mając wszystko co świat uważa za szczęście, lub przynajmniej za środek do szczęścia — z takimi uczuciami w sercu, z takimi wyrazami na ustach! Donald Rancorn był przecież więcej zmartwiony, niż zadziwiony gorzkim fantazyowaniem chorego, bo znał już smutne tajemnice tego życia, które miało zagasnąć wraz ze światłem dziennym. Rodacy stają się braćmi na obczyźnie, odkrywają sobie nawzajem najskrytsze tajniki serca i w pierwszych zaraz dniach choroby, gdy gorączka odbierała choremu sen, paliła spiekło usta, lord Clyde dziękując towarzyszowi za podany mu napój chłodzący, rzekł: — Gdyby nie ty, Donaldzie, koniec mój byłby jeszcze cięższy niż było życie... Umierałbym z zaciętymi ustami i zcieśnioną piersią, nie mając komu powiedzieć, co mnie zabija, bo nie jest to jedynie gorączka zjadliwego klimatu, która wrogo napada cudzoziemca. Nie... co innego zatruło już dawniej krew w moich żyłach; choroba przyplątała się też dla tego i dobija mnie tylko...

— Nie przecz mi proszę: nie dowódź, że są to przypuszczenia chorobliwe. Wiem, że koniec mój nie daleki i dla tego budzi się we mnie pragnienie, abys poznał dzieje mego życia. Spowiedź przedśmiertna, to przedśmiertne wyżalenie się przedkims. Czy chcesz Donaldzie, abym wylał przed tobą gorzyc, przepełniającą mi serce. Nie mów że mnie to zmęczy i rozdrażni — przeciwnie... Milczące rozpamiętywania drażnią mnie i nekają ciężiej, przeradzają się w widma gorączkowe. Gdy sądzisz że majaczę, rozmawiam tylko ze wspomnieniami memi i czy będziesz słuchał, jeżeli użyję tej nocy bezsennej na wypowiedzenie ci ich?

Donald Rancorn nie wiedział, czy mu należy protestować i zabronić temu, którego sam uważał za bliskiego śmierci, aby odkrył mu piekące rany swego serca? Może rzeczywiście było to lepszym, niż dumania bolesne, do których gorączka mieszała obrazy swoje i sir Rupert Clyde, patrząc się w ciemność nocy, słabo rozświetlonej bładem światełkiem noceń lampki, zaczął opowiadać przyjacielowi dzieje smutnego swego życia.

— Wiesz że rodzina moja jest starą i zamożną; ojciec był oficerem, odważny jak lew, zginął na polu bitwy i zostawił mnie sierotą. A ostatnie pokolenie Clydów składało się z trzech braci. Najstarszy sir Rollo, dziedzic na Clydesdale był bezdzietnym i ja wziąłem po nim spadek, jako syn drugiego z kolei brata reprezentując linię młodszą; trzeci brat, Gerald, proboszcz z Ovingdean umarł także młodo i zostawił syna, Adryana, stryj Rollo wziął nas obu do siebie. Obaj mieszkaliśmy przy nim w Clydesdale Towers i kochaliśmy się jak bracia. Poszedłszy razem do szkół, mieliśmy jednych przyjaciół, jedne i te same dążności. Po ukończeniu nauk ja wstąpiłem do wojska, a Adryan obrał zawód marynarza. Po kilku latach służby, spotkaliśmy się znowu w Clydesdale, i brano nas za rodzonych braci, tak oba

mieliśmy rysy Clydów; ciemne oczy, włosy, brwi ciemne. I obaj mieliśmy naturę Clydów — gwałtowną, namiętą ale kochającą i szlachetną. Dałbym być życie za Adryana, a on za mnie; ale los chciał abyśmy pokochali jedną kobietę. Clydowie byli zawsze szalonymi w miłości, kochali gorąco i tonęli całym sercem w uczuciu, pochłaniającem ich. „Kochać jak Clyde“ stało się przysłowiem w Wollshire. Obaj też kochaliśmy z tą samą siłą. Widzę jej twarz, tej ukochanej, oh! widzę.. Widzę też strumień: woda szemrze... czysta, srebrna, cudownie ochładzająca woda.

Majaczył przez chwilę, ale wkrótce odzyskał przytomność. Tylko nie pamiętał na czem stanął, co już opowiedział:

— Mówiłeś o Adryanie — przypomniał mu Donald.

— A tak — Adryan był mi więcej niż bratem, bo był bratem i przyjacielem, a jednak obaj kochaliśmy Eleonorę. O pozwól mi powtarzać często to imię! Nie nie wyrówna słodyczy tego dźwięku! Obaj kochaliśmy ją taką miłością, że musiała być naszą zgubą.

— Stary probosz parafii Clydesdale umarł i nastąpił po nim nowy, Doktor Vesey. Stryj składając mu wizytę, wziął nas obu ze sobą i tam zobaczyliśmy jego jedyną córkę — Eleonorę! Przypominała wysmukłą lilję białą. Pokochałem ją od pierwszego wejrzenia namiętym uczuciem, które stało się mojem potępieniem, jak każdego z Clydów. — Młoda dziewczica była bardzo ładna i nieśmiała, bardzo mało do nas mówiła. Kiedy jednak odezwała się, słowa jej do mnie były zwrócone; a ja — szalenię — myślałem że zrobiłem na niej wrażenie miłsze, że podobałem się jej więcej...

— Z Adryanem pozostała tak zawsze nieśmiałą, trzymała się zdaleka; rzadko kiedy mówiła do niego, prawie nań nie patrzyła; a przecie — o jak dziwne są kobiety! — jego przeniosła nademnie.

— Byliśmy względem siebie zupełnie szczerzy. Wieczorem tego dnia w którym ujrzelśmy ją po raz pierwszy, Adryan przyszedł do mnie z twarzą pełną dumy i szczęścia.

— Czy wiesz Rupercie, co się ze mną dzieje? zapytał zaprzeczaj zgadnij, jeżeli sądzisz, że cię to może zajmować.

Zajmuje mnie wszystko co się ciebie dotyczy — odrzekłem. Odrzucił w tył głowę ruchem sobie właściwym, i rzekł żywo: — Zakochałem się, i jeżeli pozyskam wzajemność, ożenię się.

— Kto wie Adryanie, czy i ja już nie kocham — odrzekłem, siłąc się na spokojność.

— Ty Rupercie! — i zacna twarz Adryana zachmurzyła się — ty także? Cóż teraz zrobimy? Instynktownie podaliśmy sobie ręce.

— To nas jednak nie powinno poróżnić, — rzekł Adryan. — Jestto nieszczęście, któremu nie wiem jak zaradzić?

— Ani ja — odparłem, ale zostaniemy przyjaciółmi pomimo tego, to rzecz pewna i nie ulegająca wątpliwości.

— Ależ Eleonora nie może nas obu kochać — rzekł Adryan, z gorzycą. — Musi wybierać, odparłem. Podajmy sobie dłonie i zostanmy jak dotąd najwierniejszymi przyjaciółmi, najprzywiązaniem braci. Żadna zazdrość, żadna niechęć nie powinna wkręcić się pomiędzy nas. Zostawmy sobie wolność działania: dostanie ją w ten sposób ten, do którego skłoni się jej serce.

— Może nie będzie chciała żadnego z nas! — zawołał Adryan rozpaczliwie.

— Nie może być aby nie wybrała jednego — odpowiedziałem z zarozumieniem młodości. Samo nasze nazwisko ma już niepospolity urok w okolicy. Jesteśmy młodzi, przystojni, dla czego nie miałyby wybrać którego?

— Później postanowiliśmy, że na pierwszą oznakę sympatii, okazaną jednemu, drugi natychmiast ustąpi. Sądzilem na pewno, że ja zyskałem pierwszeństwo, bo lubiła więcej rozmawiać ze mną. A wierząc mi, Eleonora nie była zalotną. Nigdy podczas naszego długiego współzawodnictwa nie wyrządziła żadnemu umyślnej przykrości. Nie szukała chluby w tem, żeśmy ją obadwa kochali.

Przez długi czas nawet o tej miłości nie wiedziała, nie spostrzegła że obadwa ubiegamy się o nią.

Chory westchnął i przymknął oczy na chwilę. — Nawet w tej puszczy, leżącego na łożu śmierci pociesza wspomnienie, jak szlachetnymi byliśmy względem siebie — ciągnął następnie. Jeżeli szedłem z Eleonorą, odprowadzając ją do domu, albo do kościoła w niedzielę, lub towarzysząc jej na przechadzkę, a spotkaliśmy Adryana, nie wynikło ztąd żadne nieporozumienie. Uchylał kapelusza z miną człowieka spokojnie grzecznego i szedł dalej. Ja tak samo czyniłem, gdy Adryan jej towarzyszył. Żaden z nas nie ofiarował jej podarunku, nie przedziwyszy o tem drugiego; nasze współzawodnictwo było otwarte, szczerze, szlachetne.

— Nie byłem też ludzony przez nią, Donaldzie jej słizne usta nigdy się nie splamiły fałszem. Wielka miłość mnie zaslepiła, i to do tego stopnia, że litowałem się nad Adryanem. Pamiętam jak raz wieczorem, rozmawiałem długo z Eleonorą; kiedy naraz Adryan się zbliżył, jej szczerzy, łagodny uśmiech zniknął, spuściła oczy i słowa zamarały jej na ustach; a ja — ślepy i szalony — żałowałem Adryana. Pomówił z nami chwilę i odszedł, wtedy obróciłem się do niej żywo.

— Bądź dobrą dla Adryana p. Eleonoro — rzekłem.

Otworzyła szeroko zdziwione oczy.

— Mam być dobrą dla p. Adryana? powtórzyła. — Ależ nią zawsze jestem. Dla czego to pan mówisz?

— Bo zachowanie pani zmieniło się, skoro do nas przystąpił — odpowiedziałem, i wtedy ku memu zdziwieniu mocno się zarumieniła.

— Czy tak? muszę nadal być uważniejszą — rzekła. Dziękuję, żeś mnie pan przestrzegł.

— Myślałem wtedy, Donaldzie, że dosyć będzie wyrzec słowo, aby została moją. W głębi serca nosiłem ciężki żal nad losem Adryana. Lecz zarazem byłem dumny z tego, że ją mogę zrobić Lady Clyde, panią na Clydesdale, podczas gdy Adryan nie posiadał ani tytułu, ani majątku.

— Pojawienie się nowego konkurenta doprowadziło rzeczy do przesilenia. Moglibyśmy byli jeszcze miesiące całe ciągnąć nasze szlachetne współzawodnictwo i szczerą przyjaźń, ale pólkownik Mostyn przyjechał do stryja a ujrzawszy Eleonorę, zakochał się w niej szalenie. Tego nie mogliśmy ścierpieć i postanowiliśmy oświadczyć się, aby uczyniła wybór.

— Kto pierwszy będzie miał sposobność, niech przemówi, — powiedział Adryan. — Jeżeli cię przyjmie, Rupercie, niech cię Bóg błogosławi i zsyła szczęśliwe z nią pożycie. Powiesz mi to i powrócę zaraz do służby. Jeżeli mnie wybierze, przyjdę ci to oznajmić.

— Na tem stanęło. Los okrutnie ze mnie żartował bo zaraz tego poranku stryj Rollo powiedział.

— Adryanie, idź na probostwo i zapytaj Doktora Vesey, czy nie chce jechać ze mną i pólkownikiem do Lowestof Park.

— Ta chwila, te słowa rozstzygnęły wszystko. Gdyby mnie był kazał jechać, życie nasze inaczejby było poszło, ale zwyczajem naszym było nie ubiegać się jeden przed drugim gdy chodziło o probostwo. Adryan udał się tam w tej chwili, lecz rzeczy tak się złożyły, że za powrotem nie widział się ze mną. Stryj go zabrał natychmiast do Lowestof Park, a ja niemogłem znieść dłużej niepewności, zdawało mi się że ogień płynie mi w żyłach. Tęskniłem za widokiem Eleonory, za dotknięciem jej małej, drogiej ręki. Czulem że oszaleję jeśli jej nie zobaczę, bo niespokojna miłość miotala mną i paliła mi serce.

— Wtedy dopiero przyszło mi na myśl, że jednak mogę ją utracić. Gdy Adryan wychodził ze stryjem i pólkownikiem dojrzałem coś w jego twarzy co mnie teraz dopiero uderzyło. A gdyby, wysłuchawszy w pierw jego prośby powiedziała: „Tak.“ — Gdyby pólkownik Mostyn był szczęśliwszym od nas obu? Czulem że muszę do niej spieszyć, bo już i tak dużo czasu straciłem!

— Idąc przez las rozpaczalem i pocieszałem się

na przemiany; dla czego miałem wątpić? taką dobrą była zawsze dla mnie.

— Ach Donaldzie, czy to szum drzew, czy wietrzyk zachodni porusza ich gałęziami i miły orzeźwiający deszcz jest blisko? — zawołał chory, nadsłuchując wśród ciszy nocnej odgłosów leśnych. Znowu marzenie zaczęło mu się łączyć z rzeczywistością: szum amerykańskich borów zmieszał mu się nagle ze wspomnieniem tego angielskiego gaju, który przebywał, spiesząc do ukochanej kobiety. — Czy deszcz blisko? pytał.

— Znużony jesteś Rupercie, nie mów więcej — odrzekł Donald łagodnie — wyczerpij się.

Ale sir Rupert, już oprzytomiony, spojrział nań błagalnie.

— To mnie właśnie uspokaja — rzekł. — Teraz lepiej i chłodniej, pozwól mi wypowiedzieć wszystko o niej.

— Więc mów dalej — powiedział przyjaciel a sir Rupert, niekiedy odpoczywając, ciągnął opowiadanie w gorący, namiętny, sposób.

— Doszedłem do probostwa i w ogrodzie pomiędzy lilijowcami i powojnikami ujrzałem Eleonorę. Uspokoilem się nagle, ale oczy zaszyły mi mgłą. O Boże! dla czego taka wielka miłość miałaby być nieodzwajemiona? Znalazłem się nakoniec przy jej boku, patrząc w piękną twarz i ujmując białą jej rękę, którą zawsze się zachwycałem. Nie pamiętam co jej mówiłem, słowo płynęły jak woda, nie miałem siły powstrzymać ich, ani nad nimi panować. Nigdy miłość nie była wypowiedziana w gorętszych wyrazach... Miły zapach lilijowców ogarniał mnie a wiatr z lekka poruszał ich kwiatami.

— Nareszcie zatrzymałem się, upojony szaleniem! Spojrzawszy na nią, ujrzałem że blednieje. Ręka, którą trzymałem w mej dłoni, gwałtownie drzeć zaczęła. Co to znaczyć miało? — Znowu wylał się potok gorących słów, których nie już nie powstrzymywało, żaden wzgląd, żadne nawet wspomnienie rozumu. Płakała! — Łzy jej płynęły strumieniem, a ja patrzyłem w nią zdziwiony. Łzy? kiedy całe niebo szczęścia było przed nami — łzy, kiedy ja stałem przed nią w zachwycie miłości i nadziei! — Donaldzie! czy wielka miłość zawsze jest samolubną? W tej stanowczej chwili myślałem tylko o sobie i nie mogłem jej łez zrozumieć. Zeałowalem je z własnej ręki, gdy na nią padły. Musiałem być szalony, bo nie doznawałem ani wątpliwości, ani bojaźni. Pamiętam iż pochylwszy się, całowałem jej drogie ręce, ciągle spoczywające w mych dłoniach, czulem z dziwnym przejęciem zapach lilijowców i slyszalem własny głos, mówiący.

— Czy chcesz, Eleonoro, czy chcesz najdroższa, zostać moją na zawsze, moim aniołem, panią moją, moją małżonką?

— Wybuch gwałtownego płaczu był jej odpowiedzią. Oparła ręce na mojem ramieniu i podniosła twarz ku mnie.

— Nie wiedziałam, Rupercie, że mnie kochasz — rzekła.

— Najdroższa, kochałem i uwielbiałem cię najwyższą miłością od pierwszego wejrzenia! zawołałem.

Wtedy zasłoniła twarz rękami i głośno zapłakała. Ach Donaldzie, gdybym był wtedy padł nieżywy pomiędzy lilijowce! — Dla czego płakała? — Składałem majątek, życie, miłość u jej stóp, mówiłem jej, co prawdą było, że bez niej, życie dla mnie niczem było i stałem zdziwiony dla czego ona płacze? Mówiłem jej, jak ją kocham, jak całe życie dla niej poświęcę, kiedy nagle mi przerwała.

— Cicho, Rupercie, nie powinnam slyszec ani słowa więcej.

— Dla czego? czy cię obraziłem, najdroższa?

— Nie, ale Adryan dziś rano powiedział mi to samo, co ty mówisz w tej chwili i dałam mu słowo, że będę jego.

— Cofnęła ręce z cichym jękiem, którego nigdy nie zapomnę. Donaldzie, widziałeś mnie mężnym w obec śmierci, wiesz że nie jestem tchórzem, ale te słowa mnie przybiły. Przez chwilę zdawało mi się że czarny płaszcz rozpostarł się między me-

mi oczyma a otaczającą zielonością i upadłem twarzą na ziemię, zrozpaczony. Kobieta, którą kochałem, została straconą dla mnie.

— Kiedy okrutna przytomność, powróciła mi, leżałem tam, gdzie upadłem unóg Eleonory, z głową tarzającą się u jej stóp. Ale ona była teraz przy mnie. Klęczała na murawie i głowę moją dźwigała, schylając ku mnie twarz bladą i zadumaną.

— Jesteś chory, Rupercie? szepnęła.

— Patrzałem na nią oszołomiony nieszczęściami, nieprzytomny z boleści. Na co się zdało mówić, tej tkliwej duszy, że zabrała mi więcej, niż życie.

— Powiedz mi raz jeszcze — rzekłem — co przyrzekłaś Adryanowi?

— Być jego żoną — odparła...

— Donaldzie, nie dowiedziałem się nigdy czy moja myśl była słuszną. Niech mi niebo przebaczy, jeśli ją źle sądziłem. Ale gdy się oczy nasze spotkały, zdawało mi się, że czytam w nich miłość do mnie, którą snadź odkryła w sobie w tej chwili dopiero. Może w tej chwili zbudziło się w jej piersi, to uczucie niebieskie, które w dziewiczym zwłaszcza sercu drzemie cicho, natury swej nie zdradzając. Gdybym był pierwszy wyznał jej moją miłość, Eleonora była by moją: Milezeliśmy przez chwilę, potem odezwała się łagodnie.

— Czy nie widziałeś Adryana? Mówił mi, że ci oznajmi co zaszło między nami.

— Gdybym go był widział, Eleonoro, nie byłbym tu przyszedł — rzekłem i znowu nastalo milczenie.

Nareszcie oprzytomniałem, i pojąłem że cała nadzieja stracona; podniosłem się i siadłem przy niej.

— Będąc żoną Adryana, będziesz posiadała najwerniejsze serce na świecie — rzekłem.

— Wiem o tem, odparła krótko.

— Musisz o tem zapomnieć, Eleonoro com ci wyznał, nieszczęśliwy! Mówiłem to w niewiadomości tego, co się stało, i pamiętaj że z głębi serca proszę Boga o błogosławieństwo dla waszej przyszłości.

Nachyliła się ku mnie.

— Rupercie, co teraz poczniesz ze sobą? wyszeptala.

— Będę się starał postąpić szlachetnie i odważnie, Eleonoro. Nie mamy z Adryanem tajemnic dla siebie. Gdybym ja cię był zdobył — ach jak ciężko było wymówić te słowa — Adryan byłby wyjechał. Ja teraz myślę zaciągnąć się do pułku, który odpływa do Indyj i tam pozostać póki mnie czas nie wyleczy.

— Czy tak być musi Rupercie? zapytała smutno.

— Musi, Eleonoro — odrzekłem — powiem Adryanowi dla czego się oddalam. Przyrzeknij mi Eleonoro, że zapomnisz tej chwili...

— Nie — rzekła łagodnie — zapomnieć nie mogę. Boleść jej i radość razem będą zawsze żyły w mem sercu. Zawsze będę dumną żeś mnie kochał, Rupercie.

Smutek bez granic i słodycz były w jej głosie. Tak pragnąłem jej się spytać czy mnie kochała, czy byłaby mnie przyjęła gdybym się pierwszy był oświadczył! Ale uczciwość, obowiązki względem Adryana przemogły. Ona tymczasem rzekła.

— Rupercie, potrzebuje ci powiedzieć, nim rozstaniemy się ze sobą, że nigdy nie marzyła abys mnie kochał. Myślałam że masz dla mnie uprzejmą życzliwość, że lubisz moje towarzystwo... Tak, to myślałam jedynie.

Albo ja zbyt dobrze ukrywałem moje uczucia, albo ty Eleonoro nie uważałaś, jego objawów — odparłem.

— Były to jedyne przykre słowa, jakie jej powiedziałem, a na które one szepnęła smutno. — Ach! Rupercie, czyż mogłam przypuścić, że ty: przyszyły lord Clyde... Przerwałem jej gwałtownie, lecz nie mogąc się zdobyć na formalne pożegnanie z nią i z proboszczem, prosiłem ją aby mnie samego zostawiła. Trzeba mi samotnie stoczyć walkę z nieszczęściem — rzekłem, lecz wiedziałem, że ją żegnam na zawsze.

— Eleonoro, dodałem — niegdyś, gdy rycerze byli blizcy śmierci, jeżeli znalazła się przy nich litościwa kobieta, nie uchylała się od pocałunku

i słowa pociechy. Dziś, gdy umarło we mnie to, co było życiem mego serca, dziś gdy zasługuję na litość większą, niż gdybym miał przed sobą grób otwarty, bo rozdziela nas ze sobą rzecz nie mniej głęboka, jak grób, pocałuj mnie raz jeden, jedyny, a pocałunek ten poniosę ze sobą w dalekie kraje.

Schylła się nademną, dotknęła moich ust swojemi i powstała szybko.

— Bądź zdrowa, najdroższa moja, bądź zdrowa! zawołałem.

Za chwilę zniknęła i już jej odtąd nie widziałem.

Chory przestał mówić, a podniosłszy oczy zobaczył że przyjaciel duma z głową opartą na rękę. Odezwiał się więc do niego.

— Czy nie znudziłeś się, Donaldzie?

— Jak możesz zadawać takie pytanie? Jestem tylko rozsmucony twoim losem i zadumałem się przytem nad rozmaitością niedoli ludzkiej. Ile to różnych, a ciężkich cierpień jest na świecie? Nie ty jeden nosisz niezgojoną ranę w piersi...

Dokończę ci reszty — rzekł sir Rupert. — Nie będę się rozwodził nad chwilami, które nastąpiły po rozstaniu mem z Eleonorą; com przeszedł, co pokus i złych podszeptów namiętności zwalczyłem w sobie, zostanie tajemnicą między mną a niebem. Śmierć nigdy nie przychodzi, kiedy się jej pragnie i wtedy nie przyszła na moje żądanie. Złote lilijowce wiele razy przekwitły od czasu, jak w ogrodzie probostwa padłem między niemi, zraniony w serce najokrutniejszym ciosem. Zapanowawszy nad sobą, powróciłem do domu, gdzie Adryan czekał na mnie. Ach dzięki niebu, miałem dość siły, aby się zmusić do uśmiechu, kiedy podałem rękę towarzyszowi i przyjacielowi młodości. Żaden cień podejrzenia nie zaćmił jasności jego szczęśliwych marzeń. Wyciągnął do mnie dłoń z nieśmiałością i litością skrytą, lecz uśmiech na mej twarzy odpowiedział jego pocziwemu zmieszaniu.

— Czy wiesz? — zapytał, a ja odrzekłem siląc się na spokój:

— Wiem i winszuję ci z całego serca.

— Widziałeś Eleonorę? — zagadnął.

— Tak — odrzekłem — mogę ci otwarcie powiedzieć, że poszedłem dziś na probostwo, z celem podobnym twojemu. Tyś zwyciężył i niech ci Bóg daje szczęście.

Drogi chłopiec spojrział na mnie ze łzami w oczach.

— Znienawidzę to szczęście moje, jeżeli ma być źródłem cierpień dla ciebie Rupercie — zawołał gorąco. Była to chwila, w której mógł zrobić dla mnie poświęcenie najwyższe; widziałem to, lecz nie chciałem korzystać z uniesień zacnego serca.

— Walczyliśmy szlachetnie, Adryanie i ty zwyciężyłeś — rzekłem. Gdybym ja był szczęśliwym, ty postąpiłbyś tak, jak ja dziś czynię. Wszakżeś mi powiedział, że w razie przegranej powrócisz do służby.

— Tak, ale ty tego nie zrobisz? Nie odjedziesz od nas Rupercie?

— Muszę, proszę cię nie sprzeciwiaj mi się, Adryanie, ale raczej pomóż mi do wyjazdu.

Poszedłem zaraz do stryja, aby załatwić sprawę póki miałem siłę ku temu. Czuję że rozpacz mnie ogarnia. Stryj spojrział na mnie uważnie, gdy wchodziłem do pokoju.

— Co się stało, Rupercie? — zapytał, wstając żywo z krzesła. — Jakże źle wyglądasz, drogi chłopcze?

Zbliżyłem się, wyciągając do niego ręce, jak do ojca. Zawsze był dla mnie bardzo dobry i miły jak ojciec.

— Stryju, rzekłem, jesteś moim najlepszym przyjacielem, mam ci powiedzieć coś ważnego. Wiesz, że Adryan i ja byliśmy współzawodnikami. Spochmurniał i szepnął zeicha.

— Była to nieprzyjemna rzecz i wiedziałem, że

z tego coś złego wyniknie: Jesteś ciężko zraniony, widzę to.

Nie odpowiedziałem wręcz na pytanie. — Byliśmy współzawodnikami, ale w mężki, uczciwy sposób — rzekłem. Pokochaliśmy obaj odrazu, lecz z całą uczciwą, braterską szczerością, postanowiliśmy że będziemy też starać się obaj o serce Eleonory. Dotrwaliśmy w przyjaźni do końca.

— Jesteście obaj szlachetni i dzielni, zawołał stryj Rollo. — Jestem z was dumny, lecz spodziewam się, że ty zwyciężyłeś Adryana; nie jest to występkiem powiedzieć, że ciebie lepiej kocham.

— Przegrałem, stryju i dla tego pragnę pomówić z tobą. Przegrałem, i pierwsza chwila była okropną, może nie dla mnie jednego, bo Eleonora jest tkliwą, słodką duszą kobiecą. Wyznałem ci stryju, że wziąłem jej z ust pocałunek, bo zagnałem ją na długo, na bardzo długo. Uścisnąłem też szlachetną dłoń Adryana, życząc mu wszelkiego szczęścia. A teraz, stryju, muszę odjechać, nie mogę zostać i patrzeć na ich szczęście, toby mnie zabiło. Pomóż mi postąpić jak mężczyzna, pomóż mi do wyjazdu.

Mileczał przez chwilę, potem rzekł smutno.

— Dobrze, Rupercie. Pragnąłem szczerze, aby koniec tej sprawy był inny, ale teraz nie ma o czem mówić... Kiedy i gdzie chcesz jechać?

— Jutro, jeżeli pozwolisz. Pragnę się zaciągnąć do gwardy królowej. Pułk odpływa do Indyi w przyszłym tygodniu.

— Rób jak chcesz — odrzekł. — Nie chcę ci się sprzeciwiać, lecz kiedyś powrócisz do mnie? Ciężko mi żyć bez ciebie.

— Powrócę, gdy będę już uleczony, odpowiedziałem. Ale Donaldzie, choć leżę już może na łóżu śmierci, nie jestem dotąd wyleczony z tej najstraszliwszej gorączki, która się zowie miłością.

Stryj, uczynił dla mnie wszystko co mógł, pomógł mi pod każdym względem i na drugi tydzień odpłynąłem.

Pragnąłbym aby tu był koniec powieści, i nietylko dla tego, że wyglądałbym przez to lepiej, miałbym więcej szacunku dla siebie, ale musisz słuchać dalej Donaldzie. Odjeżdżając, byłem prawie szalony; kiedy pomyślę jak zrobiłem się posępnym i szorstkim, dziwię się, że nie spotkała mnie jaka awantura. Ale koledzy moi, oficerowie, byli bardzo dobrzy dla mnie. Nigdy nie drażnili mnie, ani żartowali ze mnie; zrozumieli widać, że ciężko byłem dotknięty. Ach co wycierpiałem przez miłość dla kobiety! co za tęsknotę okropną, jaki ból nieskończony!

— Od pięciu miesięcy byłem już w Indyach kiedy przyszła wiadomość, której ciągle wyglądałem. Wiadomość o ślubie Eleonory. Jeden z moich przyjaciół opisywał mi go bardzo szczegółowo, a gazety angielskie dawały o nim sprawozdania, wychwalając piękność panny młodej. Chociaż byłem na to przygotowany i usiłowałem być mężnym, nie mniej nowina spotęgowała moje cierpienie. Leżałem bezsennie po całych nocach, starając się zwalczyć moją boleść, o kiedy znużony zasypiałem nareszcie, śniła mi się Eleonora, pochylająca się nademną wśród lilijowców i budziłem się, wołając ją czułem słowy.

— Wtedy to po raz pierwszy spotkałem cię, Donaldzie. A co najwięcej pociągnęło moje serce ku tobie, to było podobieństwo z Adryanem; nie tylko w twarzy i głosie ale i w charakterze. Za to cię pokochałem i coraz więcej cię kocham.

W parę miesięcy potem przyszły złe wiadomości z domu. Stryj Rollo umarł, ale nie nagle, dostał zapalenia płuc i cały tydzień chorował. Ciągle mówił o mnie, jak mi pisał Adryan i prosił, aby posłano po mnie. Zostawił mi swoje błogosławieństwo, pożegnania i cały majątek. Adryanowi wyznaczył majątek wystarczający na porządne utrzymanie i piękny zameczek zwany Greenowes. Zapisał też coś Eleonorze, lecz dla

mojej przyszłej żony zostawił przepyszne brylanty Clydów.

Szczerze byłem zasmucony, bo kochałem stryja Rollo. Zostałem teraz sir Rupertem, lordem Clyde na Clydesdale. Wszyscy myśleli że, powrócę do domu, nie wiedząc że dom krył dla mnie tortury. Napisałem do Adryana z prośbą, aby zamieszkał z żoną w Clydesdale na mojem miejscu. Z początku robili trudności, ale nie mogłem znieść, aby stara nasza siedziba została na łasce służących, póty więc prosiłem, aż przystali i sprowadzili się do Clydesdale Towers. Wtedy, przyszła na mnie chwila spokoju. Miło mi było myśleć, że Eleonora jest tam, w starym domu mego rodu.

Nasz pułk został odkomenderowany do Lahory i tam spotkałem się z największym nieszczęściem mego życia. Mógłbym być mieć szacunek dla siebie, gdybym nawet złamany niemężko przez wielki zawód serca, uczynił się łupem dla choroby i śmierci — mógł bym tak czuć teraz, pozostawszy wiernym Eleonorze, ale tak jak obecnie rzeczy stoją, nienawidzę się najgorętszą nienawiścią. W Lahorze spotkałem Sabinów — słuchaj Donaldzie, abys mógł zrozumieć. — Majora Sabine z żoną i dwiema siostrzenicami. Sam major był to odważny oficer, oddany całkowicie swemu zawodowi, lecz jego żona okazała mi się prędko, jako pocziwa kumoszka, lubiąca plotki i mieszająca się chętnie w cudze sprawy; na szali losów mego życia zawazyli też nie oni. Klara, starsza, z dwóch siostrzenic, została wydana już w Indyach za człowieka świeżego szlachectwa; Floryna, młodsza, ładna i wesola, dobrego jak można było wnosić serca liczyła się jeszcze do dziewczątek.

Major Sabine był bardzo gościnnym, pani była duszą każdej zabawy. Najmilszą dla niej rzeczą było układać zebranie przyjacielskie. Ale prawda: kojarzenie małżeństw stanowiło dla niej większą jeszcze rozkosz i była to najczynniejsza swatka na kilkanaście mil na około. Mogę ci powiedzieć, że od razu postanowiła sobie wydać za mnie Florynę. Ktoś jej powiedział, że się kochał nieszczęśliwie i dla tego wyjechał z Anglii, umyśliła też wyleczyć mnie i pod pewnym względem dopięła swego, Donaldzie. Człowiek ulega często dziwnym przewrotom i jestem ja dowodem tego...

Jakaś skryta nadzieja tkwiła we mnie zawsze, aż do ślubu Adryana; gdy się raz dowiedział, że Eleonora jest już żoną, zebrałem resztę energii i usiłowałem zwalczyć w sobie miłość, nie mającą żadnej przyszłości. Oddawałem się ciągłej pracy i zajęciom, unikając wszelkich zabaw i rozrywek, lecz nagle nastąpił przewrót; gdy mnie raz wciągnięto w wir zabaw i przyjemności, porzuconych od tak dawna, oszalałem. Stałem się najweselszym z wesółych i wkrótce pierwszym w kołach bawiącej się młodzieży. Ale szczęśliwym prawdziwie, nie byłem nigdy. Cała gorączkowa wesołość, ani na chwilę mnie nie pocieszyła, przynosiła może pewną ulgę boleści.

Po chwili milezenia chory mówił dalej.

Sabinowie okazali mi wielką przyjaźń, przyjmowali o każdej godzinie, we wszystkim się radzili, uważając jakgdyby za członka rodziny. Dla mnie, zranionego w uczuciu najtkliwszem, atmosfera rodzinnego domu miała w sobie coś niewymownie kojącego, miłą mi była pieczołowitość i dobroć kobiet. Było to nowością dla mnie widzieć w koło siebie przyjazne twarze, słyszeć wesołe głosy, być przedmiotem nieustannych starań, któremi tylko kobiety otaczać umieją. Polubiłem dom, gdzie tego doświadczałem, majorowa chciała mi być matką, Lady Lee-stone była tkliwą jak siostra, lecz Floryna przewyższała w tem obie.

(Dalszy ciąg nastąpi)